ECHO ZŁOTORYI

Miesięcznik Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej • Nr 6(31) • Czerwiec 2008 • Cena 2,00 zł

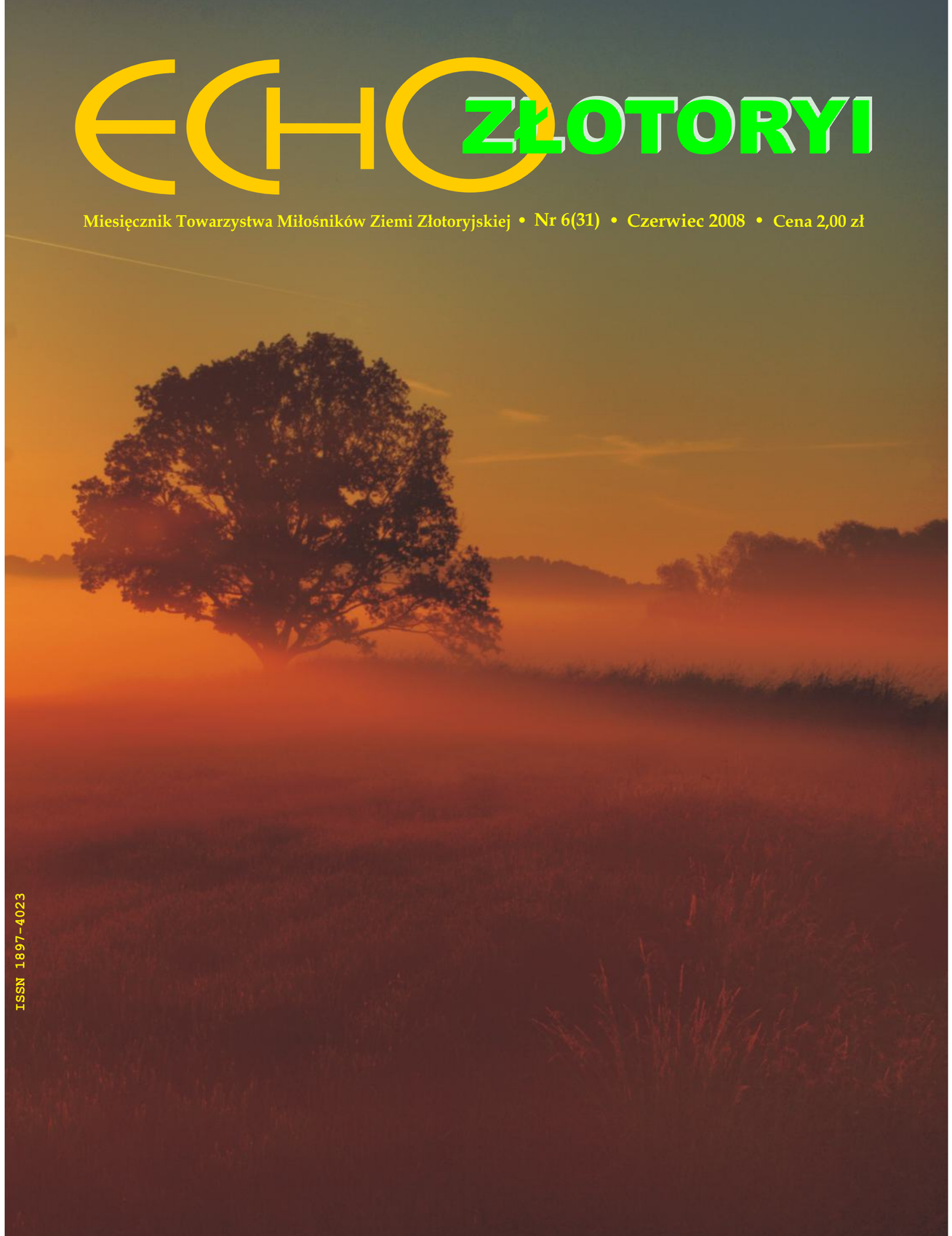

ISSN 1897-4023

Z żoną Jolantą na terenie świątyni buddyjskiej w Korei Południowej. Wiosna 2003.

Fizyk w podróży

Iwona Pawłowska: Czuje się Pan złotoryjaninem?
Mieczysław Pluta:Właściwie- urodziłem się we Wrocławiu, jednak już w kilka dni po moim przyjściu na świat rodzice przywieźli mnie do Złotoryi i tak już zostało. Pracuję w Instytucie Fizyki Politechniki Wrocławskiej, ale często jestem tu, w domu.

I. P: Nie kusi Pana Wrocław, który daje naukowcom większe możliwości?
M... P: Od pracy naukowej i kariery ważniejsi są bliscy. Oboje z żoną jesteśmy ze Złotoryi i tu zostaliśmy. Nie znaczy to wcale, że jestem domatorem. W ciągu ostatnich kilku lat upomniały się o mnie trzy, może cztery miejsca. Zaproszono mnie do współpracy naukowej za granicą w interesujących lub nawet egzotycznych krajach. W Kanadzie zajmowałem się zastosowaniem ultradźwięków do wykrywania raka piersi. Tam byłem z żoną, która, co ciekawe, posłużyła jako obiekt testowych badań. Ponad dwa miesiące byłem też w Johannesburgu, gdzie zajmowałem się ultradźwiękami w kryształach. Po Afryce był jeszcze pobyt w Korei. Regularnie współpracuję z uniwersytetem w Lipsku.

I. P: Jak z perspektywy podróżnika, światowca postrzega Pan Złotoryję? Jesteśmy zaściankiem?
M.. P: Nie, na pewno nie. To, co tu zadziwia, to sport. Mamy kilka sekcji, które działają prężnie od wielu lat i odnoszą sukcesy w kraju i na świecie. Przykładem są: akrobatyka, tenis i kilka innych dyscyplin. Zastanawiałem się, z czego to wynika? I myślę, że jest to przede wszystkim zasługa ludzi: organizatorów, trenerów, no i oczywiście zdolnej młodzieży. Przychodzi mi czasem do głowy myśl, że to pewnie złotoryjska woda ma wpływ na takie sukcesy . Coś w tym musi być. Pod względem sportu nie musimy się wstydzić, tu nie jesteśmy zaściankiem. Często jeździłem na ligowe mecze tenisowe i miałem okazję do dumy z naszych zawodników, szczególnie kiedy w trakcie meczów w znacznie większych miejscowościach, z Warszawą włącznie, pojawiał się wynik np. 6:1 dla Złotoryi. Żeby odnosić sukcesy, trzeba pracować w sposób zorganizowany i konsekwentny. Wtedy można podjąć walkę i liczyć na zwycięstwo. W innych dziedzinach podobnie. Chlubnym przykładem takiego działania jest TMZZ, które powoli i konsekwentnie buduje bazę i poszerza działalność, ukazującą region i jego historię.

I. P: Dlaczego poświęcił Pan życie fizyce, a szczególnie akustyce?
M. P: Ksiądz Tischner, w swojej „Historii filozofii po góralsku", inspirowany Platonem mówi, że jak już grasz, to chciałbyś lepiej grać, jak tańczysz, pragniesz tańczyć jeszcze lepiej [*Tóńcys? Juści rodbyś jesce lepiej tońcyć. Gros. Juści rodbyś jesce piękniej grać. Śpiewos? Juści rodbyś jesce piękniej śpiewać. Cujes, ze to, co robis, to jest ino cień śpiewanio, cień granio, cień tońca. A nawet i to cujes, ze sóm-eś cień siebie. I rodbyś, bracie, siebie samego z cienia w prowde przemiyniył. Obyś był takim, na jakiego cie stać.*- dop I. P.].
Tischner miał rację. Odnosząc to do siebie, mogę powiedzieć, że gdy się zacznie i wejdzie na pewien poziom, fizyka staje się sympatyczna i przyjemna, ale trzeba opanować właściwe narzędzia. Fizyka pozwala zobaczyć inaczej pewne zjawiska. Pozwala pojąć, że w świecie wszystko jest fajnie, logicznie poukładane. Na szczęście jest w tej układance jeszcze wiele niespodzianek i zagadek.

I. P: Humanista tego nie pojmie? Nie doceni wartości świata materii?
M. P: Myślę, że intuicyjnie pewnie tak, ale jest to zachwyt „wprost", bez odczuwania harmonii wewnętrznych „mechanizmów". W zamian zyskuje pewnie odnośniki kulturowe, o których fizyk może wiedzieć mniej.

I. P: Można o fizyce mówić prostym językiem?
M. P: Tak, zdarza się często, że ci, co tworzą fizykę, potrafią o niej wspaniale mówić, pisać. Świetnym przykładem jest Stephen Hawking, który doszukuje się mechanizmów powstania wszechświata i pisze o tym w ciekawy sposób. Polecam „Krótką historię czasu". W tej książce napisał we wstępie, że każdy wzór zastosowany w podręczniku powoduje podzielenie liczby czytelników przez dwa. Hawking zawarł w swojej publikacji tylko jeden $E= mc^2$. Nie ryzykował więcej. Może stąd taka popularność „Krótkiej historii…"

I. P: Jak Pan myśli, skąd bierze się taka mała popularność kierunków politechnicznych wśród absolwentów liceów? Można temu zaradzić?
M. P: Faktycznie odczuwa się względny brak chętnych do studiowania na politechnice. Przez wiele lat obleganymi kierunkami były ekonomia, zarządzanie, prawo. Jest zapotrzebowanie na zmianę proporcji. Stąd też wychodzimy z propozycją prowadzenia zajęć dla uczniów liceów i gimnazjów. Mają one zachęcić młodzież do wyboru kierunków politechnicznych. Takie programy finansowane są obecnie ze środków unijnych. Kiedyś prowadziłem na politechnice wstępne zajęcia dla licealistów pod nazwą „Studium Talent". To jest bardzo fajna sprawa, ponieważ prowadzący ma możliwość zaproponowania swojej wersji pomostu między materiałem szkoły średniej a uczelnianym. Przez moje ręce przeszło wiele świetnych grup zdolnej młodzieży. Ostatnio, w ramach programu finansowanego z grantów, uczestniczyłem w zajęciach dla młodzieży w Gimnazjum nr 2. Inaczej prowadzi się tzw. zajęcia odświętne, inaczej codzienne lekcje. Wiem, co mówię, ponieważ kiedyś przez rok próbowałem swoich sił jako nauczyciel gimnazjalny. Podziwiam wszystkich, którzy robią to na co dzień. W gimnazjum zawodzą wszystkie metody, które z powodzeniem stosuje się wobec studentów. Młodszym trudniej jest skupić uwagę na problemie. Nauczyciel musi panować nad wszystkim i wszystkimi. Dlatego, kiedy przyjeżdżamy do szkół z programami edukacyjnymi, przygotowujemy specjalne, ciekawe tematy i staramy się je przekazać w atrakcyjnej formie. Sam fakt, że jest to lekcja „odświętna", prowadzona przez gości, daje szansę na sukces. Ostatnio zaprosiłem do współpracy koleżankę z uczelni, dr Annę Hajdusianek, specjalizującą się w prowadzeniu zajęć i eksperymentów dla młodzieży podczas Festiwali Nauki we Wrocławiu.

I. P: Jaka jest przyszłość przed Pana dziedziną, akustyką?
M. P: Rozwój akustyki idzie w wielu kierunkach. Duże zastosowanie ma ta nauka w medycynie. Wciąż pracuje się nad udoskonalaniem aparatów słuchowych. Tworzone są nawet implanty, które, omijając małżowinę uszną, przekazują sygnał bezpośrednio do nerwu słuchowego. Innym przykładem zastosowania akustyki w medycynie jest ultrasonografia, czy bliższa mi tomografia. Pracujemy nad coraz dokładniejszymi urządzeniami do diagnostyki. Jednak nie tylko w medycynie akustyka odgrywa znaczącą rolę. Przydaje się w technologii. Służy do badania wytrzymałości materiałów i właściwości kryształów. W nauce obecnie bardzo ważna jest interdyscyplinarność. Odkrycia, sukcesy naukowe muszą mieć konkretne cele, zastosowania. Cenna jest współpraca zespołów. W Korei miałem okazję zaobserwować, że tamtejsze zespoły, pomimo codziennej rywalizacji o rynek, kiedy trzeba, pożyczają sobie wzajemnie drogi, skomplikowany sprzęt do badań. Niepojęte. Wzruszający typ współpracy. Poza tym Koreańczycy biorą czasem na siebie beznadziejnie trudne zadania. Potem biją głową w mur, gdy nie wiedzą jak rozwiązać problem. Niektórzy mówią, że jeśli ktoś coś wynalazł, odkrył, to często dlatego, że nie wiedział, iż tego nie da się zrobić. Tak bywa w koreańskich laboratoriach. Upór Koreańczyków naprawdę skutkuje. Co drugi nowoczesny telewizor czy telefon komórkowy jest koreański.

I. P: Skoro wspomniał Pan o Korei, to może porozmawiajmy o podróżach i egzotycznych dla nas miejscach.
M. P: To zacznijmy od Południowej Afryki. W 2002 roku dostałem zaproszenie do współpracy z Uniwersytetem WITS w Johannesburgu. Było to dwa i pół miesiąca intensywnej pracy naukowej w towarzystwie uznanych autorytetów. Jednak mogłem też poznać inny świat. Tak się szczęśliwie złożyło, że trafiłem na sezon filharmoniczny, a profesor, z którym współpracowałem, był melomanem. Wybraliśmy się na kilka z koncertów. Jeden z nich odbywał się w historycznym ratuszu. Centrum Johannesburga nie przypomina jednak reprezentacyjnych miejsc innych metropolii. Kiedyś bardzo ekskluzywna dzielnica, jest bardzo niebezpiecznym i biednym miejscem. Bogaci mieszkańcy miasta, najczęściej biali, wywędrowali na jego obrzeża. Ostrzegano mnie, że po zmierzchu nie należy wychodzić na ulice, bo to bardzo ryzykowne. Jednak koncert odbywał się wieczorem. Jechaliśmy samochodem przez te niebezpieczne ulice. Było to ekstremalne przeżycie. A potem, w centrum tej dzielnicy, w sali koncertowej ratusza zagrały największe organy po południowej stronie równika. Odezwały się w trzeciej symfonii Kamila Saint-Saensa. Ten kontrast emocji i wrażeń będę długo pamiętał.

Inny ciekawy moment to spotkanie ze Spirytem, czarnoskórym naukowcem z Lesoto, który zaprosił mnie do swojego kraju. Lesoto to wciąż niezależne królestwo, jeden z najwyżej położonych krajów na świecie. Jechaliśmy 30 kilometrów do jego rodziny po bezdrożach i wtedy mój znajomy wyjaśnił mi, że jego rząd woli przeznaczać pieniądze na edukację niż na drogi. Faktycznie w Lesoto poziom analfabetyzmu jest najniższy w całej Afryce. W rodzinnej wiosce Spiryta nie świeciło się żadne światło, nie ma tam jeszcze elektryczności. Ludzie mieszkają w okrągłych chatach krytych strzechą (lokalny wódz sam wyznacza ilość trawy na pokrycie dachów dla każdej rodziny). Rodzice kolegi przyjęli mnie bardzo gościnnie. Siedzieliśmy przy blasku świecy i jedliśmy coś, co smakowało jak dynia z mięsem. Ojciec Spiryta zapytał, skąd jestem. Gdy dowiedział się, że z Polski, to powiedział: *Tak, jak nasz Papież.* Wtedy poczułem się bezpiecznie.

I. P: Mieszkańcy Lesoto są katolikami?
M. P: Tak, zawirowania historyczne to sprawiły. Co ciekawe, dotarłem do wioski Spiryta w przededniu Wielkiej Niedzieli, więc z ciekawością czekałem, jak w ich wydaniu wygląda Wielkanoc. Nie musiałem długo czekać. Po zmierzchu, a ten zapada już o szóstej, poszliśmy w absolutnych ciemnościach do odległego o 8 kilometrów kościoła. Od dziesiątej do trzeciej w nocy trwała najdziwniejsza i najpiękniejsza msza, w jakiej uczestniczyłam. Co prawda na początku z lękiem

Biesiada z rodziną Kim w trakcie świętowania Nowego Roku Księżycowego. Korea Południowa luty 2003.

rozglądałem się, czy nie ma tam żadnej kozy lub innego zwierzęcia do złożenia w ofierze. Wyglądało na to, że jedynym wyróżniającym się wyglądem, byłem ja sam. Nabożeństwo odprawiał czarnoskóry kapłan, a cały kościół śpiewał z podziałem na głosy. Pewnie nawet nasz wymagający dyrygent byłby zadowolony ze śpiewu tej jakości. Niech nikt nie mówi, że ludzie z Afryki są dzicy. O północy wszyscy wierni, na wieść o zmartwychwstaniu

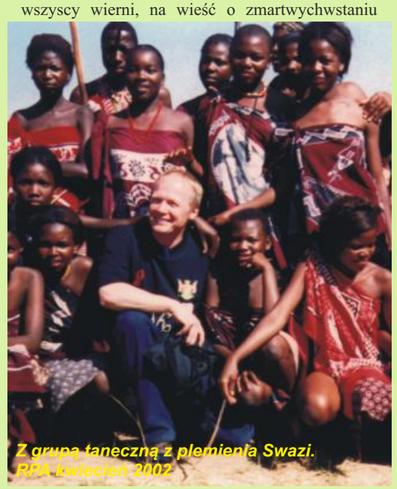

Z grupą taneczną z plemienia Swazi. RPA kwiecień 2002

zaczęli śpiewać weselej, uzupełniając śpiew tanecznym kołysaniem. Tańczyli całym ciałem. Cudowne przeżycie. Zwiedzałem tę część Afryki nie jak turysta jeżdżący z biurem podróży, lecz indywidualnie. Miałem szczęście do egzotyki. Od możliwości oglądania z bliska stad słoni czy żyraf i bajecznych krajobrazów bardziej cenię spotkania z

Z chórem Bacalarus na Kartach w Złotoryi. (czerwiec 2002)

ludźmi i możliwość poznania ich zwyczajów

I. P: Jakich wrażeń dostarczyła Panu Korea?
M. P: To jest kraj, który przetrwał 5 tysięcy lat pomiędzy potężnymi sąsiadami: Chinami i Japonią. Koreańczycy musieli trzymać się razem, kultywować tradycję, zachować odrębność. Teraz widomym znakiem tego jest ich uroda. Koreańczycy są bardzo do siebie podobni. Nie ma tam takiego zróżnicowania fizycznego jak u nas. Po prostu wiązali się w obrębie jednej grupy etnicznej. Koreańczycy mają duży szacunek do tradycji i do swoich przodków. Widziałem interesującą sytuację podczas ich święta Nowego Roku (przełom stycznia i lutego). Zjeżdża się wtedy cała rodzina i uroczystość rozpoczyna się od pokłonów, jakie najstarsi członkowie rodu składają przed portretami nieżyjących już rodziców (portrety przodków stoją na ołtarzykach ozdobnych w kwiaty i jadło). Potem kolejno młodsi kłaniają się starszym członkom rodziny. Przy okazji dziadkowie dają małe upominki dzieciom. Następnie zaczynają się małe przedstawienia, śpiewy. Kiedy ceremonia jest zakończona, wszyscy przystępują do posiłku. Tradycyjnie je się pałeczkami, siedząc na podłodze przy niskich stołach. Wszystko jest bardzo sympatyczne.

I. P: Szkoda, że nasze dzieci nie znają tej tradycji pokłonów.
M. P: Tak. Gdy czasami dyskutujemy na temat naszej młodzieży i jej stosunku do starszych, przypominam sobie tę sytuację. Młody Koreańczyk, który dwa razy w roku widzi rodziców kłaniających się dziadkom i sam oddaje szacunek swoim, nigdy nie zlekceważy człowieka tylko dlatego, że ten jest od niego starszy.

I. P: Jak Pan ocenia kuchnię koreańską?
M. P: Ciekawym doświadczeniem było grillowanie w koreańskiej restauracji - też siedzenie na podłodze, niski stół, na którym ustawiony był grill, a nad nim wyciąg. Każdy dostaje cieniutko pokrojony boczek, prawie wiórki. To się grilluje, a potem zawija w liść sałaty, dodaje ząbek czosnku, trochę zieleniny, przyprawy, sosik. Potrawę je się pałeczkami i dłońmi. Wszystko jest bardzo smaczne.

I. P: Podróże uzależniają?
M. P: Nigdy nie podróżowałem dla samej podróży. Zwykle to robiłem przy okazji konferencji, zjazdów, pracy naukowej i … turniejów tenisowych syna oraz innych zawodników. Spokojnie mogę mieszkać tutaj. Uważam, że w naszej okolicy jest pięknie. Kiedy jedzie się np. trasą do Świerzawy, spotyka się widoki o walorach, jakie trudno znaleźć gdzie indziej. Podobnie jest z naszym miastem. Zaułek przy ul. Konopnickiej, gdzie mamy korty, czasem określam jako „najpiękniejsze miejsce na świecie po…Afryce". Chwilowo może tak nie wygląda…

I. P: Jakie ma Pan plany zawodowe? Myśli Pan o profesurze?
M. P: Jestem w trakcie pisania monografii. Jest ona warunkiem kolejnego kroku w karierze naukowej. Chcę między okładkami zawrzeć podstawy i wyniki moich prac związanych z propagacją fal w kryształach. Przy okazji powinien to być specjalistyczny podręcznik. Myśląc serio o profesurze, powinienem ściślej związać się z Wrocławiem i już wcześniej budować tam swój zespół.

I.P: Dziękuję za rozmowę i życzę jeszcze wielu wrażeń, jakich mogą dostarczać podróże i nauka.

rozmawiała Iwona Pawłowska
zdjęcia z albumu rodzinnego Mieczysława Pluty

ECHO ZŁOTORYI Wydawca: Towarzystwo Miłośników Ziemi Złotoryjskiej
Adres redakcji: Złotoryja, u.l Szkolna 1 (Dom Nauczyciela "Bacalarus" - poddasze), tel.: 076 8788137, Adres internetowy: www.tmzz.pl, e-mail: echo@tmzz.pl
W pracach redakcyjnych uczestniczyli: Anna Chrzanowska, Roman Gorzkowski, Jana Kałuża, Agnieszka Młyńczak, Iwona Pawłowska (opieka nad dziennikarzami z LO w Złotoryi), Robert Pawłowski (red. naczelny), Jolanta Zarębska (korekta).
Zdjęcie na okładce: Świt w Kozowie - Robert Pawłowski.

Powiew historii

Jak na niewielką miejscowość, a obecnie nawet małą, Łaźniki stosunkowo szybko trafiły do oficjalnych dokumentów. Można być pewnym, że zawdzięczają to zainteresowaniu, jakie gruntami ornymi w okolicach wsi przejawiały możne rody. Po raz pierwszy Łaźniki wypłynęły w źródłach historycznych jako „ Lasnitova parua", w roku 1228. Drugi człon tej nazwy pochodzi od łacińskiego wyrażenia parvus = mało, za mało, a w przenośni – nieznany, nieważny, błahy. Jest wysoce prawdopodobne, że początków wsi możemy doszukiwać się przede wszystkim w folwarku; dopiero później wokół niego tworzyła się miejscowość. Nie można też wykluczyć, że ta pierwsza nazwa odnosi się do mniejszych Łaźniczek (parvus = mały), gdy tymczasem Łaźniki właściwe były już w tym czasie większe. Inne nazwy miejscowości, które kolejno pojawiały się w dokumentach to: Lasnicova, Lazenik (1386r.) oraz Lahsenik(1526r.). Nazwa Laasnig pojawiła się później i przetrwała do II wojny światowej. Na określenie Łaźniczek Niemcy używali nazwy „Konradsberg". Obecnie nazwa Łaźniczki uchwałą Rady Gminy została zniesiona, a miejscowość włączono administracyjnie do Łaźnik.

Wszystkie te nazwy zawierają w sobie słowiański źródłosłów „las". Gdyby więc polscy specjaliści od nazw miejscowości nie musieli w latach powojennych działać pod presją czasu, nie można wykluczyć, że mówilibyśmy dzisiaj o „Leśnikach". Godna uwagi jest interpretacja J. Domańskiego, który twierdzi, że Łaźniki to nazwa dzierżawcza od nazwy osobowej „łaźnik". Łaźnik zajmował się we wczesnym średniowieczu wypalaniem łazów, przygotowując grunt pod uprawę. Staropolski wyraz „łaz" oznacza miejsce wykarczowane i przygotowane pod uprawę po wypaleniu. Okolice Łaźnik mogą uzasadniać taką interpretację – ponad wszelką wątpliwość były to niegdyś tereny pokryte dużymi lasami.

Jak wspomniano wyżej, znaczenie wsi było pochodną znaczenia znanych rodów. Źródło z roku 1368 wymienia miejscowość Lazenik i jej właściciela hrabiego von Hohberga. W późniejszym czasie folwark w Łaźnikach przechodził w ręce innych rodów szlacheckich np. rodu Bock i Lüttichau. Nie jest wykluczone, że przynajmniej na krótko Łaźniki znalazły się w posiadaniu rodziny von Zedlitz, która od XIII w. „ siedziała" na Śląsku, a szczególnie w dolinie Kaczawy (od Kaczorowa do Prochowic).

Na początku okresu międzywojennego Łaźniki administracyjnie należały do powiatu jaworskiego i dopiero przed wojną włączono je do powiatu złotoryjskiego. Liczba ludności wahała się w tym czasie od około 202 do 239 mieszkańców. Wśród nich byli cieśle, handlarze (w Łaźnikach był dom handlowy), kilka osób miało inne różne posady. Osoby zamieszkujące mieszkania folwarczne najczęściej były woźnicami. Na uwagę zasługuje karczma (gościniec), którą niemieckie dokumenty określają „Gerichtskretscham". Gerichtskretscham dosłownie oznacza karczmę sądową – w niej w określone dni sołtys z ławą sądową rozstrzygał sprawy, które należały do jego kompetencji (oprócz zabójstw). Taka karczma w Łaźnikach istniała od bardzo dawna.

„Laasnig" staja się „Łaźnikami"

Był okres w historii wsi, kiedy spotkali się w Łaźnikach pierwsi polscy osadnicy oraz ludność niemiecka – mieszkańcy Laasnig, którzy już w lutym 1945r., przed nadejściem oddziałów Armii Czerwonej, opuścili wieś, lecz powrócili tu jeszcze po podpisaniu kapitulacji Niemiec w maju 1945r. Ostateczne wysiedlenie tej ludności (oni sami nazywają to wypędzeniem) nastąpiło w lecie 1946r. Małe Łaźniki poniosły w ostatniej fazie wojny (luty do maja 1945r.) wielkie straty – przede wszystkim materialne. Informacje ustne od byłych mieszkańców Laasnig oraz pierwszych osadników Łaźnik są zgodne: około 1/3 domostw uległo zniszczeniu (jest to prawa strona wsi, od nas w kierunku Jawora – jeszcze dziś widoczne są ruiny oraz stare drzewa owocowe). Zniszczenia były wynikiem ataku oddziałów radzieckich na Jawor i okolice oraz dość dużego jeszcze oporu oddziałów niemieckich. Bardzo ucierpiał też były folwark, w którym później działało Państwowe Gospodarstwo Rolne.

Pierwsi polscy osadnicy wybrali swojego przedstawiciela – sołtysa. Istnieje pewien problem z ustaleniem, kto nim był. Z informacji udostępnionej autorowi wynika, że była nim osoba o nazwisku Szymczak. Natomiast w bazie danych Urzędu Gminy Złotoryja nie ma nazwiska o takim, lub podobnym, brzmieniu. Jako drugiego sołtysa wymienia się Bronisława Czarnieckiego, a następnie Edwarda Myszkowskiego oraz Kazimierza Myszkowskiego. W latach 1994 – 2006 sołtysem była Eleonora Hołówka, a obecnie Regina Popielarz.

Łaźniki, nawet łącznie z Łaźniczkami, nigdy nie były ludną wsią, lecz obecnie należy je określić jako wieś małą. Analiza statystyki demograficznej ostatnich 15 lat wykazuje, że w Łaźnikach zamieszkiwało:

· w roku 1089 – 61 mieszkańców we wsi oraz 54 w PGR,
· w roku 1994 – 68 mieszkańców we wsi oraz 45 w PGR,
· w roku 1999 – 97 mieszkańców,
· w roku 2004 – 108 mieszkańców,
· w roku 2005 - 109 mieszkańców,
· w roku 2006 – 109 mieszkańców,
· w roku 2008 – 99 mieszkańców, w 24 budynkach mieszkalnych.

W ewidencji Biura Dokumentacji Zabytków w Legnicy dwa zabudowania Łaźnik zaliczono do posiadających walory zabytkowe – nr 20a i 20b.

Szkoła w Łaźnikach istniała już w czasach pruskich. Wiadomo np., że w XVIII w. do Łaźnik dochodzili lub dojeżdżali nauczyciele z Rzymówki. Nie był to jeszcze obecny budynek byłej szkoły. Obiekt, w którym po II wojnie rozpoczęła działalność szkoła polska, został zbudowany prawdopodobnie w roku 1920. Z zachowanego materiału (np. stare zdjęcia) można wnioskować, że nie była to duża szkoła, a na pewno niżej zorganizowana. Obiekt był typowy dla czasów prusko – niemieckich: na dole- klasy, na piętrze z reguły- mieszkanie dla kierownika (nauczyciela) szkoły. Na zewnątrz znajdowały się toalety i budynki gospodarcze (pomieszczenia na opał, chlewiki). Obok szkoły zorganizowano mały plac zabaw. Taki mniej więcej stan posiadania przejęła pierwsza polska szkoła po II wojnie. Zorganizowała ją z dniem 1 września 1956r. Maria Żyła. Kolejnymi dyrektorami szkoły byli: Zofia Jankowska, Józef Markowski i Joanna Gawron. Zachowana dokumentacja pozwala stwierdzić, że liczba uczniów w szkole wahała się od 53. w roku szkolnym 1963/64 do 21. w roku szkolnym 1969/70. Wtedy szkołę w Łaźnikach zamknięto, a młodzież była dowożona do Rokitnicy. Jeszcze w roku szkolnym 1972/73 z Łaźnik dojeżdżało do Rokitnicy aż 35 uczniów. W Rokitnicy zorganizowane było dożywianie dojeżdżających dzieci. Obecnie budynek szkolny funkcjonuje jako mieszkania prywatne dwóch rodzin nauczycielskich, a w części parterowej zorganizowano świetlicę wiejską (1989r.).

Wiejski Krzyż

W dokumentach brak jakiejkolwiek informacji o tym, ażeby w Łaźnikach był jakiś obiekt sakralny. Dlatego wierzący mieszkańcy od wieków odbywali praktyki religijne poza swoim miejscem zamieszkania. Obecnie wierzący katolicy formalnie przypisani są do Parafii Rzymskokatolickiej w Sichowie.

Bóg jest jednak wszędzie i dlatego mieszkańcy na miejscu postawili sobie namiastkę świątyni – drewniany krzyż na skrzyżowaniu wiejskiej drogi. Kiedy postawiono pierwszy krzyż, i w jakiej intencji, tego dziś precyzyjnie ustalić się nie da. W pamięci mieszkańców przetrwało to wydarzenie jako zbiorowy czyn pierwszych polskich osadników w Łaźnikach. Drugi krzyż został wykonany z drzewa modrzewiowego w roku 1972. Wykonawcą był ówczesny dyrektor PGR-u, Józef Kaliciak. Drzewo przywiózł z Leszczyny Czesław Lesik, transportem konnym PGR-u. W czasie uroczystości poświęcenia krzyża, którego dokonał ksiądz Bronisław Jakubiec, wierni zaintonowali pieśń: „Gdy grom się zbliża – pośpiesz do krzyża, on cię wesprze, ocali". Krzyż niebawem spróchniał i mieszkańcy w jego miejsce postawili figurkę Marii Panny. Fundament wykonał Tadeusz Kozołup oraz Czesław Lesik (senior). W roku 1999 sołtys Łaźnik, Eleonora Hołówka, zainicjowała wzbogacenie wiejskiego krzyża o rodzaj „kapliczki". Na krzyżu umieszczono granitową tabliczkę z następującym napisem: „ W 2000 – lecie chrześcijaństwa wdzięczni Bogu za dar wiary i zbawienia mieszkańcy Łaźnik, ks. proboszcz Zbigniew Wichrowicz. 8 XII 1999". Krzyż ze stali wykonał Franciszek Czesław Lesik (junior), figurkę ufundował ks. proboszcz Z. Wichrowicz, natomiast mieszkańcy – postument z granitu. Od początku krzyżem i jego otoczeniem społecznie opiekowała się Anna Urbaniak (zmarła w kwietniu 2008r.). Krzyż w Łaźnikach stanowi dla ich mieszkańców „zieloną świątynię", w której odbywają swoje nabożeństwa pod chmurką np. z okazji Świąt Wielkanocnych oraz majówki.

„Bartek"

Przyrodniczą osobliwością wysokiej klasy Łaźnik jest dąb, który rośnie na obrzeżach wsi (w kierunku Krajewa). Łaźniczanie nazwali go „Bartek"; kiedy dokładnie i kto go nazwał – nie wiadomo. A jest to osobnik bardzo poważnej postury i śmiało mógłby się mierzyć z dębami w Rogalinie: w obwodzie zmierzono mu aż 7,26 m (pomiar Ewy Lesik z roku 2008). I aż dziw bierze, że z takimi gabarytami pozostał niezauważony przez Leśnictwo w Wilkowie, Nadleśnictwo w Złotoryi. Nie ma go także w ewidencji Urzędu Gminy Złotoryja.

Jest wysoce prawdopodobne, że „Bartek" pamięta połowę historii Łaźnik. Nikt dotąd nie określił fachowo jego wieku – może po tym artykule ktoś zdecyduje się na wystawienie mu „metryki"? Czyż ten protoplasta na to nie zasłużył? Może chyba mieć nadzieję?

Nadzieja na przyszłość

Nadzieją Łaźnik mogą być w przyszłości prywatne przedsiębiorstwa. Jedno, bardzo duże, funkcjonuje na bazie byłego Państwowego Gospodarstwa Rolnego. Tu kiedyś biło gospodarcze i społeczne tętno wsi – była praca, można było liczyć na pomoc w rozwiązywaniu problemów i inicjatyw mieszkańców. Drugie powstało z inicjatywy Dariusza Kulasiaka, który dzięki swojej ciężkiej pracy własnej i wysiłkowi najbliższej rodziny założył rokujące sukces ogrodnictwo.

Czy te (a może jeszcze inne) przedsiębiorstwa dadzą wsi nowy impuls (żaden z właścicieli tych przedsiębiorstw nie zgodził się na udzielenie wywiadu). Może odżyją nadzieje z zalewem „Rzymówką"?

Opracowali mieszkańcy Łaźnik:
Ewa Lesik, Irena Lesik, Krzesimir Hanebach oraz Alfred Michler

61 lat w Łaźnikach

Ewa Lesik: Od którego, roku mieszka Pan w Łaźnikach?
Edward Myszkowski: Od 17 maja 1947 roku, czyli najdłużej z obecnych mieszkańców Łaźnik.
E. L.: Skąd Pan przybył?
E. M.: Z Paar w powiecie Tomaszów Lubelski.
E. L.: Kto jeszcze wówczas tu zamieszkał?
E. M.: Moja rodzina, brat -Kazimierz, siostra- Feliksa.
E. L.: Proszę powiedzieć najdokładniej, jak wyglądały Łaźniki w 1947. ile mieszkało tu rodzin?
E. M.: Z dnia na dzień przybywało coraz więcej rodzin. Ci, którzy przybyli zaraz po wojnie, to: Kołodziej, Kurasz Paweł, Mazur, Kozołup, Hołówka, Kaliciak, Bondera, Hałasa, Michno, Dwojak, Szymczak, Czarnecki, Szydłak, Kaczor, Grek.
E. L.: Jak ludzie wówczas żyli, gdzie pracowali?
E. M.: Każdy miał kawałek ugoru, pracowali na gospodarstwie, posiadali traktory – fornale; w PGRze był jeden wół, którym ludzie bronowali. Pracowali również w innych wioskach: w Rzymówce, w Prusicach, chodzili do buraków i do młócenia. Za 8 godzin pracy otrzymywało się 10 kg żyta – była to dniówka. Dostawało się również obiad i kawę z mlekiem bez cukru.
E. L.: Jak mieszkańcy zaopatrywali się tutaj w artykuły pierwszej potrzeby?
E. M.: Pierwszy sklep w Łaźnikach miał Stokowiec, w centrum. Tu można było zaopatrzyć się w najpotrzebniejsze artykuły.
E. L.: Gdzie był najbliższy lekarz, policja, straż…?
E. M.: W Łaźnikach nie było lekarza, najbliższy był w Złotoryi, podobnie z jednostkami mundurowymi, które również znajdowały się w Złotoryi.

Seniorka

Ewa Lesik: Od kiedy mieszka pani w Łaźnikach?
Maria Kozołup: Do Łaźnik przybyłam w 1947 roku.
E. L.: Dlaczego zamieszkała Pani akurat tutaj?
M. K.: Nie miałam możliwości wyboru, po prostu moja rodzina osiedliła się w Łaźnikach, więc ja razem z nią.
Pani Maria Kozołup ma już 83 lata. Rozmawiamy z nią krótko, żeby nie zmęczyć.

Pionier osadników

Ewa Lesik: Czy pamięta Pan pierwszy ślub w Łaźnikach?
Jan Mazur: Pierwszy ślub brał Bronisław Kunicki z Genowefą Hołówką; do ślubu jechali końmi i bryczką, którą osobiście powoziłem.
E. L.: Pierwszy pogrzeb po wojnie?
J. M.: Pani Borowicz, która pochowana jest w Rokitnicy.
E. L.: Czy wówczas w Łaźnikach były budynki poniemieckie?
J. M.: Budynków poniemieckich było w wiosce 19 i 7 domów na spalonym majątku czyli łącznie 26 budynków.
E. L.: Które budynki nadawały się do zamieszkania, a ile było w gruzach?
J. M.: Można powiedzieć, że wszystkie budynki były częściowo w gruzach i aby można było w nich zamieszkać, najpierw trzeba było je odremontować.
E. L.: Gdzie ludzie się bawili?
J. M.: Po wojnie Łaźniki zamieszkiwało 385 mieszkańców. We wsi znajdowały się dwie restauracje, w których co sobotę i niedzielę bawili się nie tylko mieszkańcy, ale także ludzie z pobliskich wiosek.
E. L.: Od kiedy jeździ PKS?
J. M.: 1962/63 rok - pierwszy autobus produkcji Skanskiej, stary z demobilu.
E. L.: Kto we wsi miał pierwszy samochód, traktor?
J. M.: Pierwszy samochód – syrenkę miał Hołówka, a pierwszy traktor miałem ja, Ursusa 330 w latach 80.

Pani sołtys

Krzesimir Hanebach: Dlaczego zdecydowała się Pani na start w wyborach?
Regina Popielarz: Mieszkam w Łaźnikach od lat, znam mieszkańców oraz problemy wsi i mam kilka pomysłów na ich rozwiązanie.
K. H.: Czego w Łaźnikach brakuje najbardziej?
R. P.: Tej wsi najbardziej brakuje komunikacji. W godzinach popołudniowych trudno dostać się do Łaźnik. Poważnym problemem stał się brak możliwości założenia Internetu, innego niż radiowy, który jak wiadomo, najlepszym rozwiązaniem nie jest.
K.H.: A co stanowi najtrudniejszy problem Łaźnik?
R. P.: Najtrudniejszym problemem są notorycznie zalewane piwnice. Jest to sprawa, której nie można rozwiązać od kilkunastu lat – jednak ciągle z tym walczymy.
K. H.: Czego chciałaby Pani dokonać w czasie tej kadencji?
R. P.: Dokonać można jeszcze wiele. Głównym moim celem jest rozwiązanie problemu właśnie z zalewanymi piwnicami. Są już poczynione kroki w tym kierunku i myślę, że niedługo uda się to załatwić. Chciałabym także, aby została zrobiona (wylana asfaltem) droga do Krajewa. Potrzeby są duże, ale pomału będziemy je realizować.
K. H.: Łaźniki są bardzo starą wsią (z XIII w. – pierwsza historyczna data to rok 1228). Czy nie warto upamiętnić tego faktu jakimś bazaltowym lub piaskowcowym kamieniem z datami i nazwami, który wyznaczałby „rynek" wsi?
R. P.: Bardzo podoba mi się ten pomysł. Szczerze mówiąc nie przypuszczałam, że Łaźniki są aż tak wiekową miejscowością. Umieszczenie takiego kamienia w widocznym miejscu doda uroku i być może sprawi, że Łaźniki nie będą już tak anonimowe dla przejezdnych, przyjezdnych oraz turystów.

Marzenia pani Ireny

Krzesimir Hanebach: Jak długo mieszka Pani w Łaźnikach?
Irena Lesik: Kawał czasu, 27 lat, od 1981r.
K. H.: Od kiedy jest pani kierowniczką świetlicy?
I. L.: Od 10 lipca 1997r. W tym czasie na wsi było kilkoro dzieci, a kilkoro w naszej miejscowości, to wcale nie jest mało (Pani Irena śmieje się). Tak więc od początku mieliśmy co robić, a świetlica nie stała pusta.
K.H.: Kto przed Panią szefował świetlicy?
I. L.: Pani Barbara Masel.
K. H.: Jakie imprezy odbywają się w świetlicy?
I. L.: Wioskowe i prywatne. Ludzie wynajmują świetlicę na różne okoliczności, takie jak: chrzciny, Pierwsza Komunia, Dzień Matki i wiele innych. Świetlicę może wynająć każdy, niekoniecznie mieszkający w Łaźnikach. Odbywają się tu także zabawy wioskowe. Część pieniędzy z tych zabaw przeznacza się na kupno dodatkowego wyposażenia kuchennego świetlicy.
K. H.: Czy są także imprezy stałe?
I. L.: Tak, oczywiście. Jest kilka imprez odbywających się co roku – świętujemy Sylwestra, jest zabawa na Dzień Kobiet, co roku zapraszamy do naszej świetlicy Mikołaja, są dożynki.
K. H.: Czy występują trudności przy organizacji imprez lub z utrzymaniem porządku?
I. L.: Jeśli chodzi o organizację, to wiadomo, zdarzają się problemy – jednak niewielkie i natychmiast sobie z nimi radzimy. Natomiast z utrzymaniem porządku nigdy nie było problemu; Łaźniki są spokojną wsią.
K. H.: O czym Pani marzy jako kierowniczka świetlicy?
I. L.: Przydałyby się komputery – bardzo by się przydały. Potrzebna jest też linia telefoniczna, aby można było podłączyć Internet do komputerów. Podniosłoby to w znacznym stopniu atrakcyjność naszej świetlicy.

Rozmowa z dziadkiem

Ewa Lesik: Czy kowal jest w naszej rodzinie zawodem dziedzicznym?
Czesław Lesik: Nie, ja z zawodu jestem traktorzystą, a zostałem kowalem, ponieważ taki był wymóg szefa PGR- u, wysłał mnie na kurs i tak z traktorzysty stałem się kowalem.
E. L.: Czy zaraz po II wojnie kuźnia była w tym samym miejscu?
Cz. L.: Tak, od 1947 roku po dziś dzień kuźnia znajduje się w tym samym miejscu, czyli Łaźniki nr 20.
E. L.: Jak była wyposażona?
Cz. L.: Kiedy zacząłem pracować w 1957 roku, w kuźni były dwa młotki i kowadło. Pierwsza spawarka w kuźni pojawiła się dopiero w 1962 roku i była to spawarka transformatorowa; wiertarka, stara, z brakującymi podzespołami, którą wyremontowaliśmy, pozostała po dziś dzień.
E. L.: Kto korzystał z usług kowala i w jakim zakresie?
Cz. L.: Kuźnia była własnością PGR – u, dlatego mieszkańcy Łaźnik jak również innych miejscowości nie mogli korzystać z moich usług.

Ćwierć wieku sołtysowania

Ewa Lesik: W okresie powojennym Pani najdłużej była sołtysem – ile lat i w jakim czasie?
Eleonora Hołówka: Sołtysem byłam od października 1983r. do stycznia 2007 roku, czyli przez 23 lata.
E. L.: Kto był sołtysem przed Panią ?
E. H.: Przede mną funkcję sołtysa pełnił Pan Kazimierz Myszkowski.
E. L.: Czy przez te 23 lata sołtysowania zauważyła Pani, że obowiązki sołtysa się zmieniły? Na czym polegały kiedyś, czego dotyczą dziś?
E. H.: Na pewno przez te 23 lata obowiązki sołtysa uległy zmianom. Ich charakter zmienił się głównie w wyniku zmiany ustroju w Polsce. Oczywiście jest pewien zakres obowiązków, który pozostanie niezmienny, chociażby zgłaszanie we właściwych urzędach problemów i zadań, jakie należy wykonywać w wiosce, przyjmowanie podatków rolnych oraz od nieruchomości we właściwych terminach, ścisła współpraca z Urzędem Gminy w sprawach dotyczących wioski.

Do zadań sołtysa należało kiedyś wydawanie kartek żywnościowych, współpraca z cukrownią w sprawach kontraktacji buraków, pomiary pól oraz współpraca ze Spółdzielnią Kółek Rolniczych. Za zadanie miałam przydzielanie kombajnu rolnikom w okresie żniw. Nie było to łatwe zadanie, bo każdy chciał być pierwszy na liście, więc nieraz trudno było tak pokierować, aby zawsze było „sprawiedliwie". Teraz nie ma już tego problemu; na wioskach jest więcej kombajnów, które świadczą usługi.
E. L.: Czy Łaźniki są trudne do „prowadzenia"?
E. H.: Łaźniki to mała miejscowość i pewnie dlatego jest łatwa do prowadzenia.
E. L.: Z czym było najwięcej kłopotów?
E. H.: Najwięcej kłopotów było z dostaniem się do najbliższych miejscowości, z uwagi na nieopłacalność – nie było autobusów. Ich brak utrudniał dojazd i powrót dzieci ze szkół ponadpodstawowych. Teraz jest trochę lepiej, gdyż niemal każda rodzina ma do dyspozycji własny samochód.
E. L.: Jak zmieniły się Łaźniki przez te 23 lata?
E. H.: Udało się wyremontować drogę, łączącą naszą wioskę ze Złotoryją, zrobiono oświetlenie na wiosce, mamy również wodociągi, postawiono nowy przystanek, drugi odnowiono, wyremontowano świetlicę wiejską, ogrodzono boisko sportowe, które znajduje się koło świetlicy. Wymieniono również stary drewniany krzyż na nowy, metalowy, jak również postawiono figurkę Matki Boskiej. Mimo, że wioska jest mała, odbyły się tu Dożynki Gminne. Na obecny wygląd wsi miała wpływ rozbiórka owczarni w byłym Państwowym Gospodarstwie Rolnym, jak również prace porządkowe właścicieli gospodarstw. Teraz mieszkańcy bardziej dbają o swoje zagrody, sadzą ozdobne drzewa i krzewy, przycinają trawniki, co również wpływa na estetykę wsi.
E.L.: Z jakich dokonań jest Pani dumna?
E.H.: Jestem dumna z tych wszystkich rzeczy, które już wcześniej wymieniłam. Nie udało mi się, aby została wyremontowana droga do Krajewa, kanalizacja, chodniki oraz dostęp do Internetu (możliwy jest jedynie dostęp w ramach telefonii komórkowej).
E.L.: Ojciec Pani, Pan Chrobak, też był sołtysem w pobliskiej Rzymówce – czy to rodzinne?
E.H.: Ojciec był sołtysem w Rzymówce przez 31 lat. Bardzo często mu pomagałam i pewnie dlatego, kiedy przyjęłam tę funkcję w Łaźnikach, nie była ona dla mnie czymś nowym –wiedziałam, na czym polega sołtysowanie i co się z tym wiąże.
E.L.: Co przekazała Pani swojej następczyni, jakie wskazówki?
E.H.: Mojej następczyni przekazałam kilka formalnych wskazówek co do rozliczeń z Urzędem Gminy oraz kilka przedmiotów, które ja kiedyś otrzymałam z Urzędu Gminy tj. tablicę z napisem „sołtys", pieczątkę „sołtys wsi Łaźniki", kasetkę na pieniądze oraz dobre życzenia.

W sobotę 7.czerwca na scenie kameralnej Teatru im.Heleny Modrzejewskiej w Legnicy obejrzeliśmy monodram Bronisława Biernackiego, złotoryjanina, który dzięki współpracy ze Stowarzyszeniem Przyjaciół Teatru Modrzejewskiej zyskał szansę realizacji aktorskiego talentu i pasji dzielenia się z ludźmi własnymi spostrzeżeniami, filozofią umiłowania życia, ludzi, świata. Po spektaklu rozmawiamy z aktorem tej cudnej, optymistycznej mimo wielu przeciwności losu bohatera, jednoaktówce. W cafe Modjeska usiedli przyjaciele Bronka i właściwie- rozmawiamy wszyscy.

Echo: Broniu, dlaczego Colas Breugnon?
On: Ta postać zaintrygowała mnie, kiedy byłem uczniem liceum. Oczywiście byłem jeszcze zbyt młody, by tak do końca identyfikować się z Colasem. Bohater powieści Romain Rollanda (Niblisty) urzekł mnie stoicyzmem trudnego życia i niesłychaną mądrością życiową. Nieraz cytujemy słowa Breugnona, nie znając ich autora. A to on stwierdził przecie: „Życie to piękny dar od Boga, a darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby"…Kiedy dojrzałem do wieku mojego bohatera, podzieliłem się Breugnonem z Agnieszką, moją żoną, i to ona namówiła mnie do napisania tego monodramu. Potem- do poszukiwań sceny, gościnnej i przyjaznej dla takich, jak ja, zapaleńców. To drugie już życie tego monodramu na scenie. Najpierw gościłem z nim w naszym ZOKu.

Z sali: Jak to „dlaczego"? Przecież to Colas Biernacki!
Echo: Spektakl ewoluuje. Jaki wpływ na jego kształt zawdzięczasz studiom reżyserii teatru dzieci i młodzieży?
On: Ogromny. Najpierw jednak, zupełnie amatorski monodram, powstały dzięki intuicji artystycznej (Agi i mojej), poleciłem opiece zawodowego reżysera, mego kolegi Karola Nowakowskiego. Dziś ten krótki spektakl stanowi w formie sumę naszych doświadczeń. Cieszę się, że się podoba.

Echo: kto dokonał adaptacji prozy Rollanda na dramat?
On: To najtrudniejsze i tylko moje dzieło. Mam nadzieję, że dobrze dokonałem wyboru fragmentów powieści?

Z sali: Ale nie wierzę, żeby to było pierwsze Twoje doświadczenie aktorskie?
On: Podczas studiów na wrocławskiej polonistyce wstąpiłem do studenckiego teatru *Nawias* ,który, konkurując o palmę pierwszeństwa z *Kalamburem,* wystawiał świetne sztuki teatru awangardy. Graliśmy tam Mrożka, Różewicza. Wyjeżdżaliśmy podczas wakacji na szalone obozy, zgrupowania z warsztatami teatralnymi, kształcącymi nasze umiejętności aktorskie. Wówczas zetknąłem się z Grotowskim, przeszedłem jeden z jego „szalonych" treningów oszołomiony i zachwycony za chwilę rezultatami- współistnienia człowieka z naturą. Po latach, poza „Colas Breugnonem" wielokrotnie stawałem na scenie PWST we Wrocławiu, by zaliczać kolejne egzaminy z reżyserii. Musieliśmy grać w scenach swoich kolegów, reżyserów, by w naturalny sposób zobaczyć warsztat reżysera z pozycji aktora, ucznia.

Echo: Na co dzień jesteś polonistą w Zespole Szkół Zawodowych w Złotoryi. Gdyby los inaczej roztasował karty Twojego życia…?
On: Przyjaciele wiedzą: nawet gdybym trafił szóstkę w totolotku, pracowałbym w szkole, chociaż na pół etatu. To także moja ogromna pasja. Mieści się w niej i teatr szkolny *Nie- Be-De*! Poza tym…my to mamy w genach. Nauczycielska rodzina!

Echo: Na jednym z ostatnich Twoich obrazów, które tu przywiozłeś i pokazujesz przy okazji monodramu, postaci tancerzy rzucają na drugi plan obrazu cienie zupełnie inne niż pozy ich sylwetek. Skąd pomysł na taką metaforę?
On: Samo życie!

Z sali: Są i tacy, którzy nie rzucają cienia!
Echo: Którą z sentencji Colasa zadedykujesz czytelnikom „Echa"?
On: Niech to będą słowa z ostatnich wersów monodramu: „Każdemu przystoi miejsce pod słońcem, każdy ma prawo do własnego cienia. Kawałeczek ziemi do pracy i zdrowe ręce- oto wszystko, czego nam potrzeba".

Echo: Życzymy kolejnych, tak udanych spektakli „Colasa"… w Modrzejewskiej, jak dzisiejszy.

Z sali: Warto, by więcej ludzi uśmiechnęło się do własnego życia po obejrzeniu tego spektaklu.

Skrótu rozmowy z aktorem po spektaklu dokonała dla „Echa Złotoryi" Jolanta Zarębska

Zdj ęcie: Jana Kałuża

Gość z Zanzibaru

Mohamad Nassor Moh'd Shirazi ma 34 lata i mieszka na wyspie Zanzibar u wschodnich wybrzeży Afryki. W chwili oddawania do druku niniejszego numeru „Echa" pewnie jest już w drodze powrotnej do swego ojczystego kraju. Z nim i jego polskimi przyjaciółmi rozmawialiśmy w Złotoryi kilka tygodni temu.

Jak to się stało, że od pierwszych dni maja tego roku Mohamad przebywa w Polsce, wyjaśnia Piotr Stryczek:
Wszystko zaczęło się w 1997 roku, gdy w trakcie jednego z powrotów z Konga (gdzie KGHM inwestował w kopalnie miedzi) zatrzymaliśmy się w jednym z hoteli na Zanzibarze. Właśnie wówczas poznaliśmy Mohamada, który tam pracował. Znajomość pogłębiliśmy dwa lata później a od 2004 roku zaczęliśmy się zastanawiać, jak moglibyśmy pomóc w niezbyt, mówiąc oględnie, dostatniej egzystencji jego rodziny. Przypomniałem sobie wtedy swoje studenckie lata, gdy dorabiałem do studiów na zachodzie, a konkretniej w Belgii. Po

Mohamad Nassor Moh'd Shirazi i Piotr Stryczek

zaproponowaniu Mohamadowi przyjazdu do Polski i zapewnieniu że pokryjemy koszty przejazdu, przez prawie rok trwały jego starania o wizę – w celu załatwienia formalności musiał na przykład aż pięć razy zjawiać się w stolicy Tanzanii Dar es Salam, gdzie bardzo się dziwiono, że zamierza wyjechać akurat do Polski.

Na początek rozmowy prosimy Mohamada o krótką charakterystykę jego kraju:
Tanzania jest państwem unijnym od 1964 r., gdy nastąpiło połączenie Tanganiki z Zanzibarem. Państwo ma dwóch prezydentów i liczy około 80 milionów mieszkańców należących do wielu plemion, z których najważniejszą rolę odgrywają Masajowie. Na kontynencie, czyli na terytorium dawnej Tanganiki, dominuje katolicyzm, natomiast na Zanzibarze- islam. W przeszłości wyspa opanowana była przez arabskich handlarzy niewolników, którzy wprowadzili tę religię i zbudowali meczety.
Bardzo przeżył rozstanie przed tak długą podróżą: *Na Zanzibarze mieszkają dwie Polki i pojawiają się turyści, podobnie jak moi złotoryjscy przyjaciele, ale o Polsce wiedziałem niewiele. Nigdy nie wyjeżdżałem tak daleko, najdalej byłem w Dubaju. W urzędach musiałem wyjaśniać, skąd mam pieniądze na podróż.*

Gdy pytamy o jego przekonania religijne, dowiadujemy się ciekawych rzeczy: *Jestem oczywiście muzułmaninem, ale islam na Zanzibarze jest bardzo tolerancyjny. Widać to np. po ubiorze kobiet, które z reguły nie zasłaniają twarzy. Nic by się nie stało, gdybym wstąpił do kościoła katolickiego, który znajduje się na wyspie.* W dniu naszej rozmowy Mohamad odwiedził kościół Mariacki w Złotoryi i bardzo podobała mu się msza, o czym zapewniają nas jego przyjaciele. Afrykański gość nie zawsze odmawiał alkoholowego poczęstunku w domach polskich gospodarzy a także, jak przy okazji stwierdził, nie brakuje mu w Polsce meczetów.

Bardzo interesowało nas położenie jego rodziny i warunki życia w jego miejscowości: *W mojej wiosce mieszka 1500 osób i jeszcze nikt nie wyjechał z niej do pracy. Pracują zazwyczaj tylko mężczyźni, kobiety opiekują się domem, jak moja żona. Mam trzy siostry i siedmiu braci ale moja najbliższa rodzina pod względem liczebności odbiega raczej od innych a nawet od rodzin mojego rodzeństwa. Mam „tylko" dwóch synów w wieku 5 i 2 lat, podczas gdy przeciętnie inne rodziny liczą po siedmioro członków. Większość domów nie ma doprowadzonej wody ani elektryczności, samochody osobowe posiadają tylko ci, którzy wykorzystują je do pracy zawodowej. Zresztą występują problemy z benzyną. Gdy ktoś nagle wzywa policję, może usłyszeć, że przyjedzie jutro, bo dziś skończyła się benzyna.* Piotr dodaje w tym miejscu, że Mohamad na krótko przed wyjazdem ukończył budowę własnego niedużego domu. Dziwimy się, gdy Mohamad stwierdza: *w hierarchii zawodowej jako pracownik hotelu stoję wyżej, niż moi bracia, z których jeden pracuje w policji a inny jest dziennikarzem. Miesięcznie zarabiam około 80 dolarów, mogę liczyć na napiwki. Taka pensja wystarczy na życie skromne ale „do wytrzymania".* Na pytanie, czy chciałby, aby jego dzieci zdobyły wyższe niż on wykształcenie, podkreślił, że studia w jego ojczyźnie są bardzo drogie – rocznie około 500 dolarów – a na naukę i pracę poza wyspą właściwie również nie mają szans.

Niemało naszych pytań dotyczyło oczywiście wrażeń z Polski i Złotoryi. Zaprzeczał, gdy upewnialiśmy się, czy jego odpowiedzi nie są kurtuazyjne.
Nie mam właściwie negatywnych odczuć, pomijając fakt, że u was jest zimniej niż na Zanzibarze. Pewną trudność sprawia bariera językowa, to znaczy rzadka znajomość wśród Polaków języka angielskiego(jego odpowiedzi w tym języku tłumaczył Dawid Droń). *Język polski jest dla mnie bardzo trudny* (ale, naszym zdaniem, bardzo poprawnie wymawiał pojedyncze polskie wyrazy). *Nie spotkałem się z żadnymi przejawami rasizmu czy niechęci. Wydaje mi się, że Polacy ciężej pracują niż Zanzibarczycy. Podobały mi się wszystkie miejsca, które odwiedziłem w Polsce. Robi wrażenie Wasze życie rodzinne, nie dostrzegam kryzysu rodziny. Złotoryja jest bardzo ładnym miastem.*

Dzień po naszej rozmowie Mohamad miał okazję podziwiać naszą miejscowość z wysokości wieży widokowej kościoła Mariackiego.

Mohamad jest bardzo pogodnym i towarzyskim człowiekiem, nic dziwnego że wzbudził sympatię Piotra i jego znajomych. Zamierzają oni podtrzymywać tę znajomość, a nawet pomóc w doprowadzeniu wody i prądu do domu Mohamada. Niewykluczone, że jego wizyta w Złotoryi nie była pierwszą i ostatnią.

Rozmawiali: Roman Gorzkowski i Dawid Droń

Jadłam w Grzybku

Przez rok funkcjonowania Zielonego Grzybka trwałam w przeświadczeniu, że najlepszym wyjściem wobec gwałtu na estetyce miasta będzie całkowita kulinarna ignorancja tego lokalu. Jednak bądź co bądź jako dziennikara (to nic, że amatorka) powinnam być obiektywna i w żaden sposób nie wolno mi kierować się osobistymi uprzedzeniami. W związku z powyższym postanowiłam przekroczyć progi jadłodajni w centrum naszej zabytkowej starówki i opisać swoje wrażenia. Mogłabym co prawda napisać felieton o Zodiaku czy Zajeździe u Jana, ale ten pierwszy lokal czynny jest w trzymanych w tajemnicy przed klientami godzinach, a o drugim przybytku dopiero w samych superlatywach pisała (w zapewne sponsorowanym tekście) GZ.

Ale- ad rem! Do Grzybka poszłam ze znajomą, którą na potrzeby tego tekstu określać będę jako B. Zaopatrzyłam się w towarzystwo z dwóch powodów. Po pierwsze: B. potrzebna mi była jako testerka tych potraw, których sama, z racji ograniczonej pojemności żołądka, sama nie jestem w stanie przyswoić, a po drugie - kobieta samotnie spędzająca czas w lokalu użyteczności publicznej wygląda co najmniej podejrzanie, więc potrzebuje tzw. alibi.
B. zamówiła naleśniki z pieczarkami i żółtym serem, ja - sałatkę gyros. Ona jeszcze kawę latte, ja - dla odmiany cappuccino. Poprosiłam jeszcze o wodę mineralną, jednak takowej na stanie nie mieli. Dziwne, zważywszy na tzw. ciepłą porę roku. Kelnerka uwinęła się z zamówieniem szybko, wbrew pogłoskom, że obsługa w tym lokalu szwankuje. Muszę przyznać, że choć była tylko jedna w porze, którą w metropoliach nazywa się lunchem, radziła sobie całkiem sprawnie.

Zaczęłyśmy od kawy. Moja była bez zarzutu, a herbatniczek z czekoladą podawany do cappuccino stanowił miłe dopełnienie. Kawa latte też musiała być dobra, sądząc po wyrazie twarzy B. Bardziej wylewna i skłonna do zwierzeń była moja znajoma, jedząc swój wielki naleśnik. Zachwycała się pulchnym ciastem i miękkimi pieczarkami. Wrażenie zrobił na niej smak roztopionego sera, łączącego wszystkie składniki nadzienia. Nie przeszkadzało to jednak B. patrzeć pożądliwie na moją sałatkę gyros. A było na co, bo talerz z potrawą prezentował się okazale. Zawartość smakowała tak, że skłonna jestem jeszcze kiedyś do powtórki wrażeń. Zielenina z pomidorem kryła w sobie kawałki miękkiego soczystego mięsa. Całość obficie polana sosem czosnkowym i posypana wiórkami sera jest wystarczającym posiłkiem obiadowym, tym bardziej, że do sałatki podawane są chrupiące grzanki.
Wizyta w barze, restauracji czy pubie to nie tylko wrażenia smakowe, ale również atmosfera miejsca, a o tej trudno się wypowiedzieć pozytywnie goszcząc w Grzybku. Lokalizacja i architektura lokalu nie stwarzają intymności i konsumpcji i rozmowy. Siedząc na zewnątrz w ogródku, czuje się na sobie niemal oddech przechodniów. W środku też nie jest lepiej. Chyba, że ktoś lubi czuć się jak ryba w akwarium.

Dzisiaj żadnej oceny lokalowi nie wystawię. Nie dlatego, że nie potrafię. Po prostu mam wakacje, czego i czytelnikom życzę.

Iwona Pawłowska

„Pokonkursie"

Barbara Matusz i Angelika Kiwa (po prawej) - laureatki konkursu

Angelika Kiwak ma 15 lat . Jej blond włosy sięgają prawie do pasa. Jest kulturalną,uśmiechniętą dziewczynką, uczennicą trzeciej klasy Gimnazjum nr 1 w Złotoryi. Uzyskała 93 punkty na gimnazjalnych testach, chociaż uważa,że mogło być lepiej.,

Jana Kałuża: lubisz malować?
Angelika Kiwak: Właśnie nie, malowanie nie jest moją pasją. Nie jestem plastyczką, jeśli coś trzeba zrobić, wtedy się zmuszam. Czytam książki. I to jest moja pasja! Lubię książki przygodowe, romanse,lubię trochę pomarzyć, pośmiać się. Moimi ulubionymi pisarkami są Grochola, Sawicka....

J.K.: Prawdę mówiąc spodziewałam się innej odpowiedzi. Twoja praca jest inna niż wszystkie. Jest ciekawa, czasochłonna i bogata w szczegóły. Wybrałaś specyficzną technikę.
A.K.: Chciałam stworzyć coś oryginalnego, stawiam sobie wyżej poprzeczkę, nie chciałam iść na łatwiznę. Praca miała się wyróżniać i chyba to osiągnęłam.

J.K.: Może więcej szczegółów?
A.K.: Dużo czasu nad nią spędziłam. Od piątku do niedzieli siedziałam po trzy godziny. Najpierw wykonałam szkic, który był prosty, zebrałam materiały głównie plastelinę i przystąpiłam do żmudnej pracy. A efekt jest widoczny w postaci fontanny delfinów.

J.K.: Uprawiasz sport?
A.K.: Lubię jeździć na wrotkach i na rowerze. Mieszkam na wsi, więc mam gdzie bezpiecznie jeździć.

J.K.: Kończysz gimnazjum, jakie są Twoje dalsze plany?
A.K.: Chciałabym się dostać do Wrocławia do „czternastki". A potem...Trudno powiedzieć, może medycyna...

J.K.: Życzę Ci powodzenia.
A.K.: Nie dziękuję, żeby nie zapeszyć.

Rozmawiała Jana Kałuża

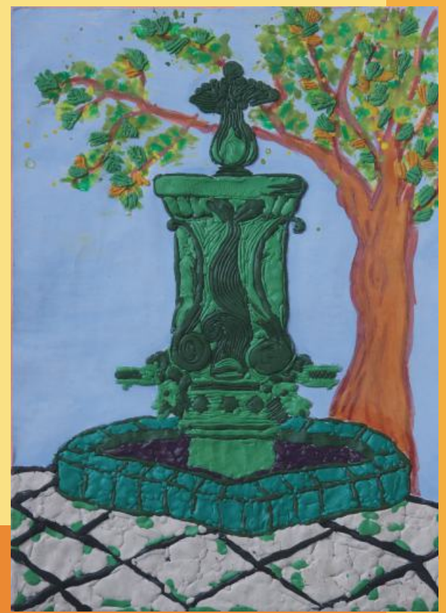

Złotoryjska przystań

I zimą, i latem nad stawem osadowym między Kostrzą a Dębiną przesiadują wędkarze. Opowieści, że żyjące tu ryby świecą w nocy, można między bajdy włożyć. Badania zgromadzonego w zbiorniku szlamu nie wykazały podwyższonej radioaktywności. Akwen jak najbardziej nadaje się na miejsce weekendowego wypoczynku. Już z daleka widać błyszczącą taflę wody, otoczoną bujną roślinnością przybrzeżną. Trzciny kołyszące się na wietrze stanowią schronienie dla ptaków i mniejszych wodnych zwierząt, jak żaby czy ryby. Staw zamieszkują dwie pary łabędzi, które upodobały sobie ten zbiornik już kilka lat temu. Czas poflotacyjnym.

„ Rekultywacja tego miejsca rozpoczęła się w latach 80-tych, gdy stało się własnością naszego przedsiębiorstwa" - mówi przedstawiciel PGP Bazalt, Tadeusz Grubczyński. Od tego czasu posadzono kilka tysięcy drzew m.in. czarne dęby, brzozy – gatunki charakterystyczne dla tego terenu. Szkodliwe odpady zasypano grubą warstwą ziemi. Właściwą decyzją było oddanie stawu w użytkowanie Polskiemu Związkowi Wędkarskiemu, który systematycznie zarybia akwen płociami, szczupakami i karpiami.

Staw osadowy w okolicy Złotoryi mógłby stać się atrakcyjny również dla turystów, gdyby postawić tam kilka ławek, wydzielić miejsce na ognisko czy grilla lub wyznaczyć ścieżki rowerowe albo dróżki spacerowe. Warto zainwestować w taką formę turystyki i sprawić, by ciszy tego miejsca nie zakłócały przejeżdżające tam od czasu do czasu auta. Należy w tym miejscu rozczarować amatorów pływania i kąpieli – staw nigdy nie będzie służył temu rodzajowi rekreacji. Jest tu po prostu za płytko, bo tylko 1.10 m, a i sami wędkarze nie byliby zadowoleni obecnością płoszących ryby turystów. Chociaż i oni nie do końca przestrzegają tej zasady, bo nad łowisko przyjeżdżają warczącymi samochodami.

Złotoryja może zyskać kolejne atrakcyjne miejsce poza Wilczą Górą i Zalewem, pod warunkiem, że władze miasta zainwestują w nie stosunkowo niewielki kapitał.

Jadwiga Kotlarz, Weronika Słupecka, Marta Gągorowska, Monika Skrzeczek, Olga Chmielowska

Niekrępujace więzy

Zacieśnianie więzi pomiędzy uczniami szkół z Polski i Niemiec to projekt realizowany już od lat przez Liceum Ogólnokształcące im. Jana Pawła II w Złotoryi. Przebiega on sprawnie. Wielu zainteresowanych podejmuje się wyzwania, jakim jest udział w wymianie młodzieży. Zaangażowanie nauczycieli dodatkowo wpływa na jakość tego przedsięwzięcia. Młodym ludziom jest łatwiej, kiedy wiedzą, że ktoś nad nimi czuwa i pomoże nadrobić pewne braki w znajomości obcego języka.

Z Naszymi Niemcami (tak ich nazywamy) spotkaliśmy się już po raz trzeci. W październiku to oni gościli nas w Varel. Później spotkaliśmy się w Marienthalu na warsztatach dziennikarskich. Kiedy przyjechali do Złotoryi, tworzyliśmy już zgrany zespół, ponieważ pierwsze lody przełamaliśmy już dawno. Ponowne spotkanie po kilkumiesięcznej przerwie sprawiło nam ogromną przyjemność .

Złotoryja od Varel różni się pod wieloma względami. Jednym z nich jest położenie geograficzne. W niemieckiej miejscowości wszędzie poruszaliśmy się rowerami. W Złotoryi nie było to konieczne, ponieważ nigdzie nie było aż tak daleko. Obawiałam się lekko o różnice, które występują w charakterze naszych miast. Varel przypomina mi rysunki z niemieckich książeczek dla dzieci: Wszędzie dookoła domki z cegły, równo skoszona trawa. Widok bardzo estetyczny, samo przebywanie w tych okolicach sprawiało mi przyjemność. Oczywiście uważam, że Złotoryja to piękne miasto, bogate w zabytki, kolorowe kamienice, a przechadzanie się ulicami naszego miasta można uznać za wypoczynek. Jednak nie da się nie zauważyć odpadającego tynku z bloków czy też „interesujących" napisów na ścianach budynków. Cieszyło mnie bardzo, że to co według mnie jest mankamentem naszego miasta, przez gości zza granicy nie zostało dostrzeżone.

Podczas pobytu kolegów z Niemiec organizowano nam liczne zajęcia: Podczas dnia reporterskiego przemierzaliśmy okolice Złotoryi trasą rowerową, o której obie strony pisały artykuły. Innym razem byliśmy uczestnikami wykładów dotyczących projektu „Eko Kaczawa", zorganizowano dla nas wykład o ziemi złotoryjskiej. Wszystko to oczywiście było bardzo ciekawe, jednak największą przyjemność sprawiało nam spędzanie czasu we własnym gronie, który sami sobie planowaliśmy. Muszę przyznać, że Niemcy polubili nasze proste przyjemności. Nie spodziewałam się, że zwykłe ognisko może sprawiać taką frajdę. Ogromną popularność zdobyła również kiełbasa z tego oto paleniska wzbogacona bułką. W Niemczech taka forma przygotowywania jedzenia została już dawno wyparta przez grillowanie.

Zdziwiłam się, kiedy koleżanka z Niemiec powiedziała mi, że tato opowiadał jej o paleniu ogniska , ale nie wiedziała, że jest to tak przyjemne. Oczywiście przy ognisku śpiewaliśmy piosenki, neutralnym wyjściem były te anglojęzyczne, jednak na pierwszym miejscu niezmiennie znajdowały się „Hej sokoły". Przyznaję, że jedną z największych radości żeńskiej grupie sprawiało chodzenie na zakupy: Przemierzanie ulicy Basztowej wzdłuż i wszerz i odwracanie głowę to na prawo to na lewo, spoglądanie raz na buty, raz na torebki, przymierzanie, dopasowywanie… i tak w kółko. Był to moment, w którym nie dostrzegałam żadnej bariery między nami. Bez problemów potrafiłyśmy sobie powiedzieć*: w tym jest Ci dobrze, w tym nie*. Przyznaję, nie rozmawiałyśmy wtedy o niczym poważnym, ani o historii, ani o polityce obu narodów. Pozwoliłyśmy się zdominować kolorom tkanin, sandałom i dużym torbom. Kiedy my oddawałyśmy się naturalnej fascynacji tym co nowe, ładne i spoczywa na sklepowych półkach, chłopcy grali w piłkę. Boisko Szkoły Podstawowej nr 1 dostarczyło im wiele radości. Panowie rozegrali mecz pełen akcji i nieprzewidzianych zwrotów z nowo poznanymi kolegami z tejże szkoły. Niestety, nie został on rozstrzygnięty i w rzeczywistości nikt nie wie, ile padło bramek. To nie zmienia jednak faktu, iż był to kolejny przykład pokonania barier i oddania się wspólnie prostym czynnościom, które nas połączyły.

Wiele było sytuacji, które wspominam z uśmiechem na twarzy. Ognisko, zakupy, granie w piłkę, wspólne wyjście na koncert. To wszystko było bardzo miłe. Lubiłam, gdy staliśmy w grupie i na raz posługiwaliśmy się trzema językami. Przyznaję - zakłopotanie, w jakie wpędzaliśmy czasem sprzedawców, sprawiało, że się śmiałam. Jednak pomimo tych przyjemnych chwil były i takie, przez które łezka kręciła się w oku. Ten czas spędzony razem sprawił, że w jakiś sposób przywiązałam się do Naszych Niemców, a moment, w którym odjeżdżali, był tym ostatnim, kiedy ich widzieliśmy. Taka wymiana to owszem - nauka, jednak nie potrafię pominąć zabawy i emocji. Nie da się uniknąć tęsknoty za nimi, bo mimo że na tak krótko, to jednak weszli w nasze życie. Niemiłym uczuciem jest również świadomość, że pewnie się już nie spotkamy. Oczywiście obiecujemy sobie pisanie maili i wysyłanie zdjęć, ale to nic w porównaniu z rzeczywistym obcowaniem w swoim towarzystwie. Lubię naiwnie myśleć, że to jeszcze nie koniec i że się spotkamy. Drewno na ognisko też znajdziemy.

Paula Wełyczko

Rowerem od siostry do siostry

Strome podjazdy, dziury w nawierzchni, rozpędzone samochody osobowe i ciężarowe i powalone drzewa – to tylko jedne z nielicznych przeszkód dla zwiedzających okolice Złotoryi. Jest szansa, że wkrótce skończy się udręka turystów. Do 2011 roku ma powstać tzw. mała ścieżka rowerowa wokół Wilczej Góry. Pięć lat później wygodny szlak połączy ją z Ostrzycą i Grodźcem. Pomysłodawcą ścieżek jest **Aleksander Borys**, emerytowany górnik i prezes Towarzystwa Miłośników Ziemi Złotoryjskiej.

Liceum Ogólnokształcące: Po co miastu i jego mieszkańcom ścieżka rowerowa?

Aleksander Borys: Jest to duża szansa, także dla młodych ludzi, którzy dzięki rozwojowi turystyki będą mogli czerpać korzyści majątkowe, prowadząc na przykład gospodarstwa agroturystyczne. Ścieżka będzie sprzyjać rozwojowi rekreacji. Da możliwość bezpiecznego poruszania się po dwóch planowanych trasach.

LO: Którędy będą przemieszczać się turyści?

AB: Planujemy stworzyć dwie trasy: krótsza, okalająca Rezerwat Wilcza Góra, będzie mieć długość 4,5 km i znacznie dłuższą - 80-100 km. Ścieżka łączyć będzie tzw. „trzy siostry bazaltowe", czyli wspomnianą Wilczą Górę, Ostrzycę oraz Grodziec. Zgodnie z założeniem, mają być to profesjonalne ścieżki rowerowe o szerokości 2,5 metra, utwardzone asfaltową nawierzchnią.

LO: Żeby zachęcić turystów do wędrówki, trzeba im zaproponować coś atrakcyjnego. Jak zamierzacie to zrobić?

AB: Ponieważ trasa w zamyśle ma spełniać również funkcje edukacyjne, na każdym z trzech przystanków powstaną punkty przybliżające informacje z zakresu wydobywania bazaltu (Wilcza Góra), geologii (Ostrzyca) oraz obyczajów średniowiecznych (zamek na Grodźcu).

LO: Ile to będzie kosztować?

AB: Według planów, koszt budowy małej trasy będzie się wahać w granicach miliona złotych, aczkolwiek możliwe jest uzyskanie pomocy finansowej z Unii Europejskiej, która pokryłaby 70% inwestycji. Pozostałe 30% to kwota, którą musielibyśmy wyłożyć sami.

LO: Na kiedy planowane jest otwarcie ścieżek rowerowych?

AB: Trasa wokół Wilczej Góry ma być oddana do użytku już w 2011 roku, zaś drugi wariant- 5 lat później.

LO: Budowa samej ścieżki nie zajmuje tak długiego czasu. Skąd rok 2011?

AB: Otwarcie tej trasy pokrywałoby się z 800-leciem nadania praw miejskich Złotoryi i byłaby to jedna z wielu atrakcji, przewidzianych na ten rok.

Martyna Borysionek, Agata Furman, Klaudia Wolak, Krzysztof Karst, Mateusz Manowiec, Paweł Synowiec

Lekarstwo dla Kaczawy

Nastał dzień sądu ostatecznego. Szczególne objawy ujawniły się na terenie Pogórza Kaczawskiego. W korycie rzeki zaległy się puszki, kołpaki, folie i butelki. Całe mnóstwo śmieci.

Ludzie nie mają świadomości krzywdy, jaką wyrządzają naturalnemu otoczeniu i sobie. A może myślą, że rzucenie czegoś w przestrzeń sprawia, iż przestaje to istnieć? Każdy normalny człowiek, który znajdzie się na wysypisku śmieci, kręci nosem, bo mu śmierdzi. Odwraca głowę, bo podarte ubrania, dziurawe buty, popsuta pralka nie stanowią estetycznego krajobrazu. Mimo to tworzy sobie wysypisko tuż za oknem przytulnych domów. Pierwsi zagrożenie dostrzegli młodzi.

Uczenie dorosłych, by zmieniali swoje nawyki, jest trudne, czasem nawet niewykonalne. Propagandowym hasłem głoszonym przez niektórych leniwych „starszaków" jest „nadzieja młodych". Tym poczuciem obywatelskiego obowiązku kierował się Damian Komada. Nauczyciel historii, wos-u i techniki w Gimnazjum nr 2 w Złotoryi uwierzył w młodych. Uczniowie szkół Pogórza Kaczawskiego w wieku 10-16 lat wzięli nie tylko sprawę, ale także worki w swoje ręce.

Projekt Eco Kaczawa w zamierzeniu miał „odciążyć" rzekę od nadmiaru śmieci. A ciężar ten był ogromny, bowiem uczniowie, spacerując wzdłuż koryta, uzbierali aż 203,7 kg odpadów na odcinku 30 km. Mała, ale zbrojna w worki i rękace armia ambitnych i edukowanych z ekologii dzieci, przemierzała Świerzawę, Sędziszową, Nowy Kościół, Krzeniów, Nową Ziemię, Podgórki, Jerzmanice Zdrój, Kopacz i Rokitnicę. Oczywiście, mali ekolodzy mogli liczyć na wsparcie…(finansowe tylko), dorosłych.

Dowiedzieliśmy się, że nie było problemów z uzyskaniem dofinansowania. W pierwszej edycji projektu otrzymano 6 tys. zł, w drugiej aż 13 tys. Pieniądze te zostały przekazane m.in. na badania wody. Za 10 euro można wykonać nawet 250 pomiarów! W końcu sami sprawdziliśmy, czym grozi wskoczenie do rzeki w stroju kąpielowym. Okazało się, że czystość kaczawskiej wody jest całkiem przyzwoita. Żyją w niej bezkręgowce, zamieszkujące tylko czyste obszary rzek. Jednak może zdarzyć się tak, że wychodząc z wody, znajdziemy na sobie przyczepioną pijawkę, co też daje do myślenia.

Badania wody obejmują fizyczne, chemiczne i biologiczne cechy i wskaźniki jakości cieczy. Mierzy się prędkość nurtu, temperaturę, barwę, zapach oraz ilość zawiesin. Z chemicznych wskaźników- odczyn pH, twardość i zawartość azotanów. Badania zostały przeprowadzone trzy razy (kwiecień 2007 roku) w różnych dniach. Uczniowie zostali podzieleni na kilka zespołów, analizujących poszczególne wskaźniki w różnych miejscach o różnych porach. Następnie wyniki zostały porównane i w ten sposób można było dokładnie określić parametry czystości wody.

Aby zachęcić dzieci do działania i dać im możliwość wyrażania tego, czym dla nich jest projekt Eco Kaczawa, zorganizowano konkursy: wiedzy o Kaczawie oraz plastyczny. Przygotowano również program edukacyjny dla szkół, znajdujących się w powiecie złotoryjskim. Cała akcja sponsorowana była przez lokalne media, Urząd Miasta i Starostwo Powiatowe.

Naszym zdaniem projekt był pożyteczny, interesujący dla młodzieży, jednakże dziś, po kilku miesiącach od zakończenia Eco Kaczawy sytuacja ekologiczna wróciła do stanu wyjściowego. Spacerując doliną Kaczawy, znów potykamy się o plastikowe butelki, metalowe puszki, plączemy nogi w foliowe worki… jak widać, dorośli nie mają świadomości ekologicznej, a zanim dzieci do niej dorosną, musimy uzbroić się w cierpliwość.

Mikołaj Biernacki, Paula Wełyczko, Michał Mendocha, Sylwia Kłósek

Miasto na wulkanie

Tak wiele mówi się o Złotoryi, jako pięknym, dolnośląskim mieście. Turystów oprowadza się głównie po centrum, gdzie zabytkowe kamieniczki i Baszta Kowalska cieszą oko. Ale historyczne budowle ma każde polskie miasto. W żadnym zwiedzający nie zobaczy jednak prawdziwego wulkanu. Widoczna z daleka Wilcza Góra to wciąż za słabo wykorzystany atut Złotoryi.

O charakterystycznym wzniesieniu zrobiło się głośno, gdy padła propozycja, by je zniszczyć. Wtedy złotoryjska młodzież zaprotestowała. Z rąk do rąk krążyły co najmniej dwie petycje. Jedna powstała z inicjatywy TMZZ-u, druga autorstwa absolwenta złotoryjskiego liceum, Bartka Jeziorskiego. Młodzi ludzie stanęli na wysokości zadania- na pierwszej z list widniało ok. 1000 podpisów.

Dla mnie Wilczak jest nieodłączną częścią życia- mówi osiemnastoletnia Martyna. *W mieście nie ma takiego drugiego miejsca, gdzie można wyjść z psem na spacer, czy spotkać się z chłopakiem i nie czuć na sobie palącego wzroku wścibskich sąsiadek*.

Wilcza Góra nie jest jedynie miejscem spotkań towarzyskich:

To miejsce jest dla mnie idealne jako plener fotograficzny, bo o każdej porze dnia i roku wygląda inaczej- mówi Bartek, młody amator fotografii.

Patrząc na Wilczą Górę nawet nie mamy pojęcia, ile ta staruszka przeżyła.

Jeszcze 100 milionów lat temu było tu morze, po którym zostały ślady muszli, odbitych w kamieniach - opowiada geograf, pan Krzysztof Maciejak.

Stożek wulkaniczny narodził się podczas orogenezy alpejskiej, 20 milionów lat temu. Jest najciekawszym obiektem z trzech „sióstr bazaltowych" (Wilcza Góra, Ostrzyca i Grodziec). Ostateczny wygląd słupów skalnych ukształtowały liczne wybuchy. Charakterystyczny fragment Wilczej Góry zwany różą bazaltową stał się w 1959 roku miejscem, które władze miasta chciały uchronić przed dewastacją, dlatego powstał tu rezerwat.

Walory krajobrazowe i rekreacyjne były wykorzystywane także przez dawnych właścicieli tych ziem - Niemców. Jeszcze przed II wojną światową działały tu m.in. schroniska, lotnisko niskoszybowcowe, zimowy tor saneczkowy oraz stał pomnik upamiętniający krwawą bitwę między wojskami napoleońskimi a rosyjsko - pruskimi.

W dalekiej przyszłości chcielibyśmy utworzyć tu Europark Wulkanizmu - mówią obrońcy rezerwatu na czele z panem Krzysztofem Maciejakiem. *Byłoby to miejsce, gdzie można przyjrzeć się przebiegom i skutkom procesów wulkanicznych.*

Młodzi ludzie również mają pomysły na zagospodarowanie Wilczaka. Pole do paintball'a, odtworzenie toru saneczkowego, basen a nawet skocznia narciarska - to tylko niektóre z nich. Dopóki Wilcza Góra jest we władaniu zakładów eksploatacyjnych, jest to niestety niemożliwe. Za kilka lat, gdy „Colas" zakończy wydobycie, będzie można wrócić do tych pomysłów.

Aleksandra Cygan, Angelika Głaz, Aleksandra Drzał, Joanna Pisarska, Aleksandra Falęcka

Rada Gminy

Rzut oka na salę obrad XVI sesji Rady Gminy w dniu 27 maja 2008r. mógłby sugerować, że władze gminy zafundowały sobie „borowików" lub rozegranie jakiegoś meczu piłkarskiego. Przewodniczący RG, **Józef Pawlus**, rozwiał i nadzieje, i obawy, że czterech „mundurowych" na sali to rezultat tematyki sesji.

A 14 (jeden nieobecny) radnych skrupulatnie zapracowało na dietę i „przerobiło" rzetelnie tematykę posiedzenia. Rozpoczęła wójt **Maria Leśna,** informacją z **działalności między sesjami**. Był to pracowity i efektywny czas, wypełniony działalnością wielokierunkową (przetargi, umowy, analiza projektów, udział w lokalnych świętach i imprezach, a także wielu naradach nie wyłączając szczebla centralnego).

Interpelacje, wnioski i zapytania, to okazja dla radnych i sołtysów do poruszania najaktualniejszych spraw. Korzystają z tej okazji dość skwapliwie. I tym razem nie było inaczej: **Henryk Luzar** (Wilków-Osiedle) pytał o remont dróg i oświetlenie uliczne; Wiesława Lizoń (Rzymówka) sygnalizuje zniszczenie znaków drogowych w kierunku Wysocka oraz plagę dzików; **Jacek Parański** (Wilków-Osiedle) upomina się o remont chodnika; **Aleksander Didenkow**_(Jerzmanic-Zdrój) mówił o powstaniu zagrożenia wskutek zawalenia mostu oraz potrzebie wyczyszczenia zbiornika p/poż; **Irena Bratek** (Wilków-Osiedle) – o pracach przy przystanku oraz drodze; **Renata Hanczyn** (Prusice)-o konieczności reperacji dachu w Przychodni w Rokitnicy oraz wyczyszczeniu wąwozu; **Zbigniew Głąb** (Prusice) – o kontenerze na plastik; **Czesław Czapliński** (Lubiatów) –o konieczności poszerzenia drogi; **Stanisław Piątek** (Rokitnica/Łaźniki) – o usunięciu suchych drzew przy boisku; **Elżbieta Banaszyńska** (przewodniczaca Zarządu Osiedla w Wilkowie) –o tym, że notoryczne jazdy motocyklistów w lesie płoszą zwierzynę; **Henryk Boczkur** (sołtys N.W.Złotoryjskiej) – poruszył problem świetlicy.

Informacja o stanie bezpieczeństwa, porządku publicznego i ochrony ppoż. w roku 2007 w formie broszury była uprzednio przedmiotem dyskusji i analiz na komisjach RG. Toteż radnych żadna informacja nie zaskoczyła, a referujący problem **nadkomisarz Henryk Stefanko** skoncentrował się na węzłowych sprawach. W porównaniu z rokiem 2006, wzrosła ilość wszczętych i przeprowadzonych postępowań karnych, natomiast wzrosła ilość postępowań o przestępstwa kryminalne, a zarazem spadła wykrywalność tego typu przestępców. Pod względem ilości rozbojów Gmina Złotoryja wyprzedza tylko miasto. W powiecie wzrosła też liczba zabójstw (z 0 do 3) – wszystkie są wynikiem nieporozumień rodzinnych. Chociaż zlikwidowano kilka grup dilerskich i przestępczość narkotykowa dość wyraźnie spadła (ze 134 do 94), jednak „nadal jest to problem". Działania prewencyjne w szkołach przynoszą skutek, lecz w sferze tzw. wymuszeń zauważalna jest, niestety, tendencja wzrostowa. Problemem jest alkoholizm, a także „zdarzenia drogowe", np. pod względem wypadków i kolizji Gmina Złotoryja przoduje w powiecie. Smutne są też cyfry ilustrujące przestępczość nieletnich – duży skok: z 87 do aż 139. Referujący wskazał także na szereg działań prewencyjnych w różnych środowiskach. Nie dają one jednak spodziewanego efektu. Wręcz plagą stały się „bandyckie powroty z imprez" i skoro „tłumaczenia nie wystarczą, trzeba będzie karać" - nie jest to radosna , lecz słuszna sentencja. W tym punkcie głos zabrali jeszcze: **E. Janiec** (sołtys Jerzmanic-Zdroju) w sprawie konieczności zainstalowania fotoradaru oraz skutecznego przeciwdziałania samowoli jednego z mieszkańców wsi, który notorycznie wypuszcza swoje groźne psy oraz **H. Luzar** w sprawie pozytywnej roli policji w czasie meczu w Wilkowie.

Stan ochrony ppoż. referował zastępca Komendanta Powiatowego PSP Tomasz Herbut. Z przedłożonego materiału, również wcześniej analizowanego na posiedzeniach komisji wynika, że na terenie gminy w roku 2007 odnotowano 227 zdarzeń, co oznacza 5% wzrost w porównaniu z rokiem 2006. Specyfiką gminy jest to, że tylko 20% działań strażaków było działaniami pożarowymi, a 80% - to inne działania (w kraju i województwie stosunek ten wynosi 50% + 50%). Straty z tego tytułu oszacowano na 478,8 tys. zł., zaś wartość mienia uratowanego – na 1,7 mln. zł. Operacyjne zabezpieczenie stanowią dwie jednostki Ochotniczej Straży Pożarnej: w Prusicach i Wysocku. Bazowo, sprzętowo i osobowo mocniejsza jest prusicka OSP, dysponująca m.in. dwoma ratowniczo-gaśniczymi samochodami klasy średniej (w tym jednym mercedesem wyprodukowanym w 2007r.!). Gmina Złotoryja jest najrozleglejszą z wiejskich gmin (145 km^2) i najludniejszą (7.100 mieszkańców). To duża dysproporcja w stosunku do jedynie dwóch OSP. Dlatego też tzw. udział sił własnych w zdarzeniach roku 2007 wyniósł zaledwie 33% (powiat =50%). To wyzwanie na przyszłość. Na ten temat wypowiedzieli się jeszcze: **H.Luzar** (co z naborem do OSP?), **J.Parański** (w/s niskiego wskaźnika udziału sił własnych) oraz **M.Leśna** (o pozytywnej roli mercedesa w Prusicach i zaradzeniu niektórym problemom OSP w Wysocku).

Informację o stanie środowiska i ekologii przedłożyła na piśmie i ustnie wójt **M.Leśna**. Zachwycamy się naszą zielenią, a tymczasem pod względem zalesienia Gmina Złotoryja ze swymi 15% plasuje się poniżej średniej krajowej (20%). Mamy jedną rzekę – Kaczawę, z III klasą czystości oraz trzy cieki: Prusicki Potok, Lubiatówkę, Drążnicę. Brak dużych zbiorników wodnych; są tylko małe stawy i oczka wodne. Sztuczny zbiornik to staw osadowy byłej „Leny" (obecnie PZW w Legnicy). Wody gruntowe (5-10m) należą do najbardziej zanieczyszczonych i nie nadają się do picia. Gmina jest w zasadzie skanalizowana – pozostały 3 wsie: Pyskowice, Rzymówka i Łaźniki. Może się okazać, że oczyszczalnie przydomowe byłyby najtańsze. Gospodarka odpadami odbywa się na podstawie planu, wypracowanego z gminami: Zagrodno, Pielgrzymka, Świerzawa oraz Starostwem Powiatowym. Za zbiórkę odpadów plastikowych i szklanych płaci gmina. Czynione są starania o fundusze na pojemniki na szkło białe. W maju gmina zorganizowała zbiórkę urządzeń elektronicznych. Systemem obwoźnym zebrano od mieszkańców 6,7 ton niepotrzebnych i zalegających w domach telewizorów, lodówek, komputerów itp. Wyniki badań powietrza są zadowalające – zagrożeń się nie stwierdza. Na terenie Gminy Złotoryja są (zarz. Wojewody Legnickiego) trzy pomniki przyrody (nieożywionej): w Leszczynie kamieniołom „Ciche Szczęście", nad Drążnicą 2 jaskinie: "Wilcza", „Niedźwiedzia" oraz „Wodospad" i „Krucze skały" w Jerzmanicach-Zdroju. Ochronie podlega 15 drzew.

W dyskusji głos zabrali: **H. Luzar** (w sprawie makulatury), **C.Czapliński** z Lubiatowa (jakimi sposobami zmusić do skanalizowania), **Z. Baranowski** z Gieraltowca (sprawa własności stawu) oraz **D. Jaroszczak** z Kopacza (sprawa drogi w kierunku stawu osadowego). Przewodniczący **J.Pawlus** nie bardzo wierzy w możliwość nasadzeń przy drogach, bowiem rolnicy przeznaczają teraz na użytki nawet przysłowiowe „Pawlakowe trzy palce".

Radni zajęli się jeszcze jednym problemem: **uchwaleniem studium uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego gminy oraz miejscowym planem zagospodarowania przestrzennego dla działki w Lubiatowie.**

Zagadnienia omówił **inż. Marek Kozłowski** z pracowni „Agloplan" w Legnicy. Podkreślił, że opracowując nowe studium uwzględniono 99% wniosków mieszkańców oraz środki materialne, kulturowe, a także złoża kopalin. Najważniejsze sprawy, jakie reguluje nowe studium, to uwzględnienie w gminie terenów pod farmy wiatrowe, nowe tereny inwestycyjne i budowlane.

W dyskusji wypowiedzieli się**: J.Parański**, **G.Hardy**, **J. Tymczyszyn** (z Lubiatowa) oraz **C. Pawlus** (sołtys Podolan).

Na zakończenie nastąpiła sekwencja głosowań w sprawie przyjęcia uchwał. Radni przyjęli jednogłośnie 9 uchwał w tym m.in. w sprawie: konkursu „Nasza wieś czysta i zadbana", przystąpienia Gminy Złotoryja do Stowarzyszenia „Lokalna Grupa Działania Partnerstwo Kaczawskie", w sprawie zmian z budżecie gminy na rok 2008 oraz w sprawie miejscowego planu zagospodarowania przestrzennego.

Alfred Michler

Słownik:
WÓJT: wyraz pochodzenia niemieckiego (Voit, Vogt). W dawnej Polsce urzędnik książęcy stojący na czele miast lokowanych na prawie niemieckim, najczęściej magdeburskim (takim miastem była Złotoryja – 1211 – a jako pierwszy jej wójt wzmiankowany jest Klemens – 1233). Z reguły była to funkcja dziedziczna i otrzymywał ją prawie zawsze zasadźca. Miasta starały się jednak o niezależność i od XIV wieku rady miejskie zaczęły wykupywać wójtostwa – teraz pojawi się tu burmistrz. W okresie międzywojennym wójt był organem wykonawczym władzy państwowej i przewodniczył samorządowi wiejskiemu w gminie. W Polsce Ludowej najpierw poddano to stanowisko pełnej kontroli gminnych rad narodowych, a w roku 1950 zupełnie zniesiono, a zadania przejęły gminne rady narodowe (później gromadzkie) oraz ich przewodniczący. Stanowisko przywrócono w 1998r. Według aktualnej ordynacji wyborczej wójt jest wybierany bezpośrednio w wyborach powszechnych.
Przysłowia o wójcie:
· Idąc do wójta – oba się bójta.
Czyja sprawa? Wójta.
Kto sądzi? Pan Wójt.
Jaki wójt, taka i gromada.

Jarmarki nad Skorą

5.07.2008 - LIPCOWE ŻNIWA - godz. 12-16 „RANCHO POD STRUSIEM" Wojcieszyn 80,

·Stoiska prezentujące produkty regionalne – naturalna żywność oraz rękodzieło, możliwość degustacji, kiermasz.
·Prezentacja malarstwa miejscowych twórców
·Pierwotne rzemiosła – pszczelarstwo. Stoiska zaproszonych pszczelarzy, degustacja miodów, prezentacja uli, historia bartnictwa
·Rower ekologicznym środkiem lokomocji – mały rajd wytyczony trasą wśród pól od godz. 13 do 14.
·Losowanie nagrody wśród gości – rodzin przybyłych na rowerach.
·Biesiada pod lipą – „Gościu, siądź pod mym liściem, a odpoczni sobie!" godz. 14-15.30
·Przejażdżki bryczką.

Wszystko na sprzedaż!
Zapraszamy na następny JARMARK NAD SKORĄ 2.08.2008
tel. 076-877 59 49
mapa dojazdowa: www.blackostrich.cxt.pl

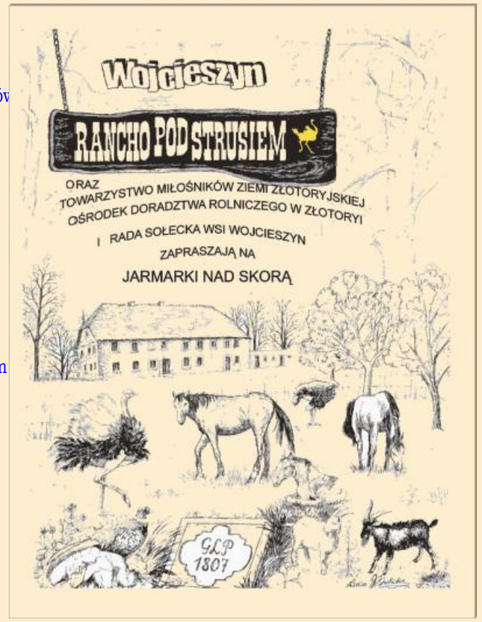

Rada Powiatu

XX sesja Rady Powiatu (30.V.2008) wcale nie przebiegała tak gładko, jak wskazywałaby na to „jubileuszowa" cyfra. Mogła jednak taki mieć przebieg, ponieważ radni całą tematykę ostro przepracowali na komisjach i wszystko było jasne. Poza jednym punktem: 7/4. . .

Starosta **Ryszard Raszkiewicz**, wchodząc na salę obrad elegancko ze wszystkimi się witał – i z radnymi, i z innymi uczestnikami obrad. Przyznać się muszę przed samym sobą, iż pomyślałem, że to właśnie w związku z tym punktem porządku obrad, ale wyprowadzono mnie z błędu – tak postępuje zawsze; a więc 1: 0 dla Starosty.

Sesję prowadził wiceprzewodniczący R P, **Zbigniew Mosoń,** przy prawie 100% obecności (jedna osoba nieobecna).W pierwszym merytorycznym punkcie Starosta nie tylko **złożył informację z pracy Zarządu Powiatu między sesjami**, lecz zarazem informację **z wcześniej podjętych uchwał**. Taka metoda realizacji tego, typowego także dla innych rad punktu, wydaje się godna naśladowania.

Tradycyjnie „na wokandę" trafiła **aktualna sytuacja w ZOZ Złotoryja**. Informację na piśmie w tej sprawie przygotowali dyr. ZOZ **Bogusław Radzki** oraz jego zastępczyni **Teresa Dziewiecka**. Wynika z niej, że wynik działalności nadal jest ujemny (- 656.217 zł), a wpływ na to miały przede wszystkim wynagrodzenia oraz zużycie materiałów i energii. Na koniec kwietnia 2008 należności stanowią 1.134.424 zł, a środki pieniężne - 985.309 zł. W tym punkcie głos zabrali: radny **Krzysztof Maciejak** (sprawa konsorcjum) oraz **Wanda Grabos** (problemy zatrudnienia).

Dyrektor **Longina Podgórska**, złożyła informację na temat **sytuacji w Zakładzie Pielęgnacyjno – Opiekuńczym w roku 2007**. Zakład zatrudnia 16 osób na podstawie umowy o pracę oraz kilka – w innych formach. „Przychody ze sprzedaży produktów" (!) wyniosły 886.937.12 zł., zaś „koszty działalności" wyniosły 853.623.74. Wynik finansowy był dodatni – 43.662.77 zł. Ze środków własnych zakład zakupił więc łóżka rehabilitacyjne (różne). Wyniki kontroli ze strony Urzędu Wojewódzkiego dały bardzo pozytywny wynik, a zalecenia Państwowej Inspekcji Pracy zostały zrealizowane. Za usługi wykonane ponad limit NFZ przekazał 13.575.26 zł. Radną **W. Grabos** zainteresowały w tym punkcie problemy związane ze „średnim czasem oczekiwania na przyjęcie".

Kiedy tworzono **Powiatowe Centrum Pomocy Rodzinie** mogło się wydawać, że będzie to zbędna przybudówka powiatu. PCPR sąsiadował początkowo z Ośrodkiem TMZZ (przy ul. Szkolnej 1), a niektórzy z interesantów pytali o . . . PZPR. Niestety, działalność jest potrzebna, a siedmiu pracowników zatrudnionych na etatach kalkulacyjnych, na brak obowiązków narzekać nie może (narzekają na przeciekający dach przy ul. Miłej 18 – młodsi złotoryjanie nawet nie wiedzą, że ich rodzice tu „chodzili" do . . . Żłobka Miejskiego nr 1). Jednym z węzłowych punktów działalności PCPR to rodziny zastępcze; aktualnie jest ich 66 i obejmują opieką 90 dzieci. Na rodziny zastępcze wydatkowano 532.357.00 zł. Kluczową rolę odgrywają domy dziecka – w powiecie funkcjonują dwa: w Wilkowie (40 wychowanków) i w Wojcieszowie (35). Pogarszająca się sytuacja społeczno – ekonomiczna społeczeństwa oraz galopująca patologizacja rodzin skutkuje tym, że sądy rodzinne coraz częściej kierują dzieci do domów dziecka, a nasze już i tak przekraczają narzucane standardy - 30. A dane statystyczne, jak „za dawnych dobrych czasów" pokazują, że jest coraz lepiej i znowu dobra i wszechwiedząca władza musi uświadomić plebsowi, iż ten nie wie, że żyje mu się dobrze. Sytuację znacznie pogorszyła dodatkowo likwidacja internatów przy specjalnych ośrodkach szkolno – wychowawczych. To, co jeszcze niedawno było zupełną rzadkością – ciąża nieletniej, dziś staje się niemal codziennością (2007 r. = 4 ciąże, rok bieżący – już 3). Przydałby się psycholog od zaraz – a brak środków na etaty. Zmniejsza się również koszt utrzymania wychowanka w placówce (mimo iż nakłady wzrosły o ok. 100 tys. zł.). „Poruszanie się" w takim otoczeniu finansowym jest trudne: finansowanie takich placówek to zadanie własne powiatu, a powiat jest biedny (remont dachu w DD w Wojcieszowie jednak przeprowadzono (2007), a w Wilkowie zaplanowano (2008). Rehabilitacja społeczna osób niepełnosprawnych to kolejne zadanie PCPR. Fundacja Rozwoju Powiatu Złotoryjskiego prowadzi trzy Warsztaty Terapii Zajęciowej: Złotoryja, Świerzawa, Wojcieszyn w gm. Pielgrzymka (najnowszy – od 7 XI 2007).Złotoryjskie PCPR śmiało nawiązuje kontakty międzynarodowe; sięga także po środki unijne. Informacja przygotowana przez kierownika **Wojciecha Szandulę** skłania do refleksji na temat stanu naszego społeczeństwa.

Wszystkie te informacje radni przyjmowali generalnie bez zastrzeżeń i w zasadzie jednogłośnie – tak sprawnie, jakby śpieszyli się na transmisję z meczu.

W ramach interpelacji i zapytań problemy zgłosili: **Wiesław Woźniak** (sprawa drogi); **Krzysztof Maciejak** (samosiejki przy drodze Uniejowice – Pielgrzymka, remont drogi Sokołowiec – Nowy Kościół); **Irena Siwińska** (vacat policyjny w Wojcieszowie w kontekście Podgórek); **Edward Janiec** (sprawa przetargu na wykonanie strażnicy).

Realizacja punktu posiedzenia, w którym **podejmowane są uchwały** biegnie zazwyczaj sprawnie, gdyż radnym znana jest materia sprawy. Tym razem było podobnie i po konkretnych zapytaniach (głównie ze strony radnego **K. Maciejaka**) 7 uchwał, z 8 przedłożonych, radni przyjęli dość gładko. „Zawalidrogą" był wspomniany na wstępie punkt 7/4: „ustalenie wynagrodzenia miesięcznego starosty złotoryjskiego". W kontekście wielkich potrzeb szpitala, PCPR, domów dziecka – po prostu raził. Radny **K. Maciejak** już na wstępie posiedzenia zgłaszał potrzebę wycofania go („zadanie domowe w postaci uzasadnienia wniosku zostało odrobione na pałę"), lecz przewodniczący RP, **Jan Kotylak** nie wyraził na to zgody. Kiedy więc doszło do realizacji tego punktu, rozegrał się jakby pojedynek bokserski. Rozpoczął go powitalnym ciosem (było to ledwo muśnięcie!) **Starosta**, który zapowiedział, iż w głosowaniu i dyskusji nie weźmie udziału. Jego głównym „przeciwnikiem" okazał się K. Maciejak, który od razu ustawił go sobie w narożniku i rozpoczął metodyczne bombardowanie prawymi (prostymi, hakami), lecz zadawanymi jakby z lewej strony: „jest szpital – tam są potrzebne pieniądze", „dziwne uzasadnienie", „na półmetku kadencji dokonać oceny i wówczas wystąpić z wnioskiem", „dlaczego akurat, i aż 1.700 zł", „czy jest obawa, że starosta nam ucieknie, jeśli takiej podwyżki nie dostanie". W przerwie między rundami radny **K. Maciejak** „przepraszał Starostę, że musi tego słuchać", lecz z niesłabnącą energią trzymał go nadal przy linach: „dokumenty, które otrzymują radni (chodzi o uzasadnienie – AM) powinny być podpisane", „dysponujemy i przyznajemy pieniądze naszych podatników". Zapewniał na koniec, że „naprawdę mu przykro, że tak to przebiega i Starosta musi tego wysłuchiwać". Generalnie: radny K. Maciejak zakwestionował argumenty, których użył wnioskodawca na uzasadnienie wniosku o podwyżkę i zasadniczo wysokość tej podwyżki. Punkt widzenia radnego K. Maciejaka podzielała **W. Grabos**: „nie przyznawać podwyżki relatywnie (procentowo), lecz kwotowo – np. o jakąś konkretną kwotę", „należy zachować przyzwoite relacje". Starosta nie poddał się; jego „sekundanci" również nie rzucili na ring ręcznika. Przewodniczący, **J. Kotylak,** oświadczył, że również o tyle procent (16,7 %) wzrosło uposażenie pozostałych pracowników urzędu; jest przekonany o słuszności podjętego działania „i tak będzie postępował nadal", gdyż „Starosta powinien zarabiać nieźle". Wicestarosta **Józef Sudoł** bronił uzasadnienia (sporządzonego najprawdopodobniej przez Jana Kotylaka): „nie może być (w urzędzie) urawniłowki".

Słownik
STAROSTA: Wg encyklopedii Glogera: „nie ulega wątpliwości, że starostowie sięgają czasów przedchrześcijańskich. /.../ Niektórzy badacze utrzymują, że pierwotnie Słowianie nadwiślańscy dzielili się na «setnie» albo «sta», a ich naczelnik zwał się starostą". Od XIV w. „to urzędnik mianowany przez monarchę. Starostę, jako istotny czynnik władzy państwowej, ustanowił w Polsce król czeski Wacław II (1300). I u naszych południowych pobratymców urząd ten istniał nieprzerwanie; dziś ich „starosta" to jakby nasz „burmistrz". Od XVI w. starosta to ziemski urząd tytularny. Utrzymywał się także w okresie międzywojennym, a w Polsce Ludowej jedynie do 1950. Pierwszymi starostami powiatu złotoryjskiego byli w tym czasie (IV 1946 – VI 1950): Franciszek Barski, Zygmunt Jaśkiewicz, Henryk Pondo (p.o.), Aleksander Dessau. Urząd zniesiono w VI 1950, zastępując go powiatową radą narodową z przewodniczącym na czele. Odnowiono w 1998 (Ryszard Raszkiewicz).

Boks jest sportem niewymiernym i sędziowie punktowi wydają „dziwne" werdykty – nieraz zawodnik, który ledwo dotrwa do ostatniego gongu zostaje ogłoszony zwycięzcą. 16 radnych powiatu „punktowało" następująco: 12 – za podwyżką, 3 – przeciw, 1 – wstrzymał się od głosu. Brakło mi odwagi, żeby patrzeć kto, jak głosuje.

Jeśli ktoś sposobem opisania poczuł się dotknięty – przepraszam. Istotnie sprawa mogłaby być śmieszna, gdyby nie była poważna. O szpitalu, domach dziecka już było. 1.700 zł to 130 % marnej emerytury nauczycielskiej, a są niestety jeszcze lichsze. Pod koniec 2000r. Zarząd TMZZ wystąpił do starosty i burmistrza, ażeby po ¼ „złożyli" się na połówkę etatu dla Ośrodka TMZZ, gdzie kilkunastu ludzi wykonuje bardzo odpowiedzialną i coraz trudniejszą pracę społeczną – obecnie łącznie z redagowaniem „Echa Złotoryi". Odpowiedzi były negatywne (Chcieliśmy? To mamy!) Widzę, że nastał dobry czas na ponowienie wniosku.

W sprawach różnych wypowiedzieli się: **W. Grabos**: osoby przygotowujące materiał na sesję muszą to robić rzetelnie, merytorycznie i sygnować swoim podpisem; **K. Maciejak**: po sprzątaniu świata zostały worki ze śmieciami na Wilczej Górze i Ostrzycy; **Starosta:** Złotoryja będzie gospodarzem konwentu starostów, wójtów i burmistrzów z udziałem Marszałka Dolnośląskiego – będzie to promocja naszego terenu (w odpowiedzi K. Maciejak wyraził wątpliwość, czy „konkurencja zechce promować właśnie nas"); **Zenon Bernacki**: w Szczawnie – Zdroju będzie wygłaszał promocyjny odczyt nt. „Szlaku wina i miodu w krainie wygasłych wulkanów". A jednak będzie promocja!.

Opracowałem na podstawie materiałów sesyjnych i osobistego uczestnictwa w sesji.

Alfred Michler

Z bożą pomocą ocalone

Kiedy powstał pomysł na wystawę pamiątek kresowych, wydawało się, że to nic trudnego. Tymczasem z gromadzeniem eksponatów nie było łatwo. Okazuje się bowiem, że rodziny uratowały w szczątkowej ilości dokumenty, fotografie i inne przedmioty. Ocalałe okruchy - niemych świadków „tamtego" życia przejmuje młodsze pokolenie. Kufry ze skarbami nabierają nowych znaczeń, a ich zawartość urasta do rangi symbolu. Powoli odradza się potrzeba poznania swoich korzeni, historii rodowej, odszukania w zasobach archiwalnych i muzealnych dowodów na istnienie ludzi, rzeczy, miejsc.

Cierpliwie czekałam . Pewnego dnia z różnych stron zaczęły napływać eksponaty. Niektóre wymagały wzmocnienia, inne można było pokazać tylko przez szybę. Dysponujemy gablotami, antyramami , więc z koleżanką Lidią Malicką zabrałyśmy się do dzieła. Aranżacja wystawy sprawiała nam wiele radości. W czasie pracy dołączyła do nas Pani Krystyna Sarna. Towarzyszyło nam zainteresowanie i wsparcie duchowe wielu osób. Na kilka dni przed planowanym otwarciem zakończono prace ekspozycyjne. Zdecydowana większość eksponatów pochodzi z prywatnych zbiorów kresowiaków legnickich, członków Stowarzyszenia Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich.

Niżej podpisana wykorzystała kontakt z historykiem z Instytutu Pamięci Narodowej we Wrocławiu i zorganizowała prelekcję dra Roberta Klementowskiego na temat działalności Jana Bohdziewicza (Czarnego Janka) w powojennym powiecie złotoryjski.

Nadszedł 26 maja 2008 r. – dzień uroczystego otwarcia wystawy z wykładem, które razem stanowiły udział TMZZ w obchody Dni Złotoryi. Tego dnia w obu formach wzięło udział około 100 osób. Towarzyszył nam burmistrz Ireneusz Żurawski, Włodzimierz Bajoński oraz wójt Maria Leśna. Przybyli goście z Legnicy, złotoryjscy kresowiacy z rodzinami i inni.

Dużym powodzeniem cieszą się eksponaty związane z losami żołnierzy Armii Andersa, działalnością Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół", zaświadczenia moralności wydane przez przedwojenne władze kościelne i urzędy. Zwiedzający wystawę podziwiają galanterię skórzaną, misterne koronki i hafty, tekstylia. Pamiętniki i listy ilustrują kontakty międzyludzkie, zawierają ocenę ówczesnej sytuacji ekonomicznej, politycznej i społecznej. Największą naszą radością są wycieczki szkolne . To dobrze że nauczyciele pojmują rolę zmiany warty pokoleniowej stojącej na straży historii narodu polskiego w bezpośrednim kontakcie z losami ludzi i przedmiotami należącymi do nich. Kolorytu ekspozycji dodaje oryginalny strój huculski – udostępniony przez Zenona Bernackiego.

W imieniu organizatorów serdecznie dziękujmy wszystkim pomocnikom i sprzymierzeńcom. Zapraszamy do zwiedzania wystawy do końca czerwca, na specjalną prośbę można czas ekspozycji przedłużyć.

Danuta Sosa

Z sokołem w herbie

W 1862 r. w Pradze Friedrich Tiersch (późn. Mirosław Tyrsz) wraz z Friedrichem Fügnerem założyli organizację, której celem było podniesienie sprawności fizycznej oraz ogólnego poziomu wykształcenia ludzi dorosłych.

Pierwsze polskie gniazdo Towarzystwa „Sokół" założono 7 lutego 1867r. Wkrótce, bo 26 marca 1867r. Komitet Tymczasowy zaproponował doktora med. Józefa Millerta (późniejszego wiceprezydenta Lwowa) na przewodniczącego Towarzystwa, a hr. Jana Aleksandra Fredrę s. Aleksandra na jego zastępcę. Zjednoczenie organizacji dzielnicowych, skutkujące powstaniem Związku Towarzystw Gimnastycznych „Sokół" nastąpiło w 1919r.

W latach 1939-1988 obowiązywał zakaz działalności w kraju, co spowodowało uaktywnienie polskich związków sokolich we Francji, Anglii i USA. Jesienią 1989 r. odbyło się Walne Zgromadzenie Wyborcze. Prezesami kolejnych kadencji zostali: Dh Zbigniew Okorski 1989-1999), Dh Andrzej Bogucki (1999-2007), Dh Belina Brzozowski (2007-2011)

Kazimierz Szczepkowski w stroju galowym „Sokoła"

Jednym z bardziej znanych działaczy był KAZIMIERZ WYRZYKOWSKI (1868-1935) lekarz, pierwszy oficjalny naczelnik polskich skautów. Po śmierci Antoniego Durskiego powołano go na naczelnika Związku „Sokoła" i „Sokoła Macierzy" we Lwowie. Funkcję objął po przeszkoleniu w Sztokholmie podczas rocznego stażu w zakresie gimnastyki według systemu dra Linga. Organizował letnie kursy gimnastyczne 1910-1914. We Lwowie w raz z Kazimierzem Tyszką redagował czasopismo „Skaut". Kazimierz Wyrzykowski prowadził zakład gimnastyki leczniczej we Lwowie, a od 1924 r. piastował stanowisko dyrektora Centralnego Instytutu Wychowania Fizycznego przy Uniwersytecie Jana Kazimierza.

Kazimierz Szczepkowski w czarnej czamarze wśród braci sokolej

Pomimo, że Towarzystwo „Sokół" było organizacją dla młodych, to wielu zaangażowanych za młodu działało w jego strukturach do późnych lat życia. Do Towarzystwa sokolego należeli lekarze, prawnicy, inżynierowie. Dla Pani Romy Szczepkowskiej zagadką pozostaje przynależność do Towarzystwa jej dziadka Kazimierza Szczepkowskiego ze Złoczowa. Dziadek Pani Romy ukończył cztery klasy szkoły niższej. Być może sprawowanie funkcji cechmistrza i członka Rady Miejskiej wynosiło go w drabinie społecznej na tyle, że mógł znaleźć się w Towarzystwie „Sokół".

Srebrna brosza z koralem, widoczna pod szyja na fotografii po lewej.

Guz z wizerunkiem sokoła noszony na okryciu

Starsi mieszkańcy Złotoryi zetknęli się z krewną Pana Kazimierza Szczepkowskiego – nauczycielką Władysławą Szczepkowską. Zdjęcia, informacje i brosze autorce udostępniła właścicielka pamiątek rodzinnych – Pani Roma Szczepkowska.

Danuta Sosa

Dni Złotoryi w TMZZ

Z okazji Dni Złotoryi zaplanowaliśmy kilka różnorodnych imprez. Były one otwarte dla wszystkich zainteresowanych. Niestety, to co działo się w dniach 26 i 28 maja nie znalazło uznania osób, ustalających oficjalny miejski program obchodów tego tygodnia i nie trafiło na plakaty, stronę internetową oraz ulotkę, opracowane przez złotoryjskich urzędników.

26 maja

Danuta Sosa zaprosiła historyka z wrocławskiego Instytutu Pamięci Narodowej, dra Roberta Klementowskiego, który przybliżył postać Jana Bogdziewicza „Czarnego Janka" i różnorodne opinie o nim, krążące jeszcze po dzisiejszy dzień. Była to postać bardzo kontrowersyjna. Podzieliła słuchaczy na trzy obozy: pierwsi nie zajmowali stanowiska, dla drugich był to bandyta, który zabijał i zastraszał ludzi, napadał na posterunki milicji, dla trzecich był bohaterem, który

walczył z nadchodzącym ustrojem komunistycznym. Sporu nie rozstrzygnięto. Wykład zaszczyciła Wójt Gminy Maria Leśna i Burmistrz Ireneusz Żurawski. W jednym z najbliższych numerów „Echa" zostanie zamieszczony artykuł o „Czarnym Janku", autorstwa R. Klimentowskiego.

Po wykładzie w Ośrodku Dokumentowania i Opracowywania Dziejów Ziemi Złotoryjskiej została uroczyście otwarta wystawa „Z Bożą pamięcią ocalone", poświęcona Kresowianom, przygotowana przez Danutę Sosę i Lidię Malicką. Publiczność dopisała. Na spotkanie przybył Jan Stanisław Smalewski, autor książki „Wyrok Workuta". Lekko przygarbione postacie ze srebrzystym włosem na głowach, połączone wspólną historią, która głęboko utkwiła w ich pamięci, żywo dyskutowały. Nie zabrakło przaśnego chleba z ogórkiem kiszonym według kresowych receptur. Jedna z pań w ostatniej chwili przyniosła album rodzinny z dokumentami przedstawiającymi rodzinę Lubienieckich, pochodzącą ze Stanisławowa. Z treści dokumentów wynikało, iż rząd radziecki uwięził w 1939 r. Mariana Lubienieckiego, ojca Kresowianki, w obozie w Ostaszkowie. Jej mamę, Annę aresztowano w 1940 r. i wywieziono wraz z dziećmi na Sybir a brata Franciszka z żoną i dziećmi na 15 lat do Kazachstanu. Dlaczego ludzie ludziom zgotowali tyle nieszczęść? W gablotach za szklanymi szybami ukrywają się (wystawa wciąż jest czynna) pamiątki z domów rodzinnych: dokumenty, przedmioty codziennego użytku, ubiory. Zgromadzone książki opisują dole i niedole Kresowian. Przypominają je również prace Lidii Malickiej.

27 maja

Spotkaliśmy się na wieczorze legend i filmów. W holu Ośrodka licznie zebrała się młodzież szkół złotoryjskich i miłośnicy legend. Wyboru tekstów dokonała młodzież z Gimnazjum Dwujęzycznego i LO pod kierunkiem historyków Alfreda Michlera i Romana Gorzkowskiego. Zaprezentowano zarówno stare jak i nowe legendy, dotyczące Śląska i Ziemi Złotoryjskiej. Ich autorami są również współcześni złotoryjanie, wśród nich laureaci konkursów, organizowanych przez Miejska Bibliotekę Publiczna i TMZZ. Pokazano fragmenty filmów o mieście i jego zabytkach. Spotkanie uprzyjemniła Maria Kałkus przebrana w mieszczański strój, która z wiklinowego kosza rozdawała maskotki młodzieży.

28 maja

Na roboczą naradę zaprosiliśmy zainteresowanych obchodami 800-lecia nadania praw miejskich Złotoryi, które przypadają na 2011 r. Obecna była Wójt Gminy Maria Leśna. Kilkanaście osób, reprezentujących głównie TMZZ oraz Stowarzyszenie Przyjaciół Złotoryi „Aureus Mons" dzieliło się różnorodnymi pomysłami. Pokłosie dyskusji przedstawimy w najbliższym numerze naszego czasopisma.

29 maja

Nareszcie na świeżym powietrzu. Wybraliśmy się na pieszą wycieczkę wokół Wilczej Góry. Około trzydziestu osób, pod przewodnictwem Aleksandra Borysa i Romana Gorzkowskiego przemierzyło trasę projektowanej przez TMZZ ścieżki rowerowej. Wydawało się, że wszyscy znają historię i znaczenie naszej „domowej góry", tymczasem wielu z nas słuchało ich historii z wielkim zainteresowaniem: Walki wojsk francuskich z rosyjskimi i pruskimi, schroniska i pomniki, rezerwat przyrody, skalne róże i słońca, kopalnie bazaltu, Wilcza Góra czy Wilkołak… Wśród zielonych traw, fioletowych łubinów i śpiewu skowronków dotarliśmy do polnej drogi. Ciepły wiatr roznosił zapach pieczonej kiełbasy. Niespodziankę sprawił nam Krzysztof Zamojski. Rożen zapraszał do konsumpcji. Nikt się nie oparł zaproszeniu. Kiełbaska była smakowita. Z wycieczki wróciliśmy cali i zdrowi. Nikogo nie użądliła pszczoła, kleszcze nie wbiły swoich szponów w naszą skórę.

30 maja

Promienie słoneczne oblały naszą miejscowość, docierając niemal w każdy zakątek. Była to wymarzona pogoda na Rajd Rowerowy „Szlakiem Źródlanym", łączącym źródełka św. Jadwigi. Rajd miał rangę międzynarodową. Uczestniczyły w nim drużyny z Gimnazjum nr 2 ze Złotoryi z opiekunem Jerzym Zagórskim, Liceum Ogólnokształcącego oraz grupa niemieckiej młodzieży z Varel, która akurat gościła u uczniów LO. Komandorem rajdu był Henryk Kopciewicz, organizatorami Alfred Michler i Wójt Gminy, Maria Leśna. Opiekę medyczną sprawowała pielęgniarka Jana Kałuża. Trasa wiodła z Jerzmanic Zdroju przez Rokitnicę do Rzymówki.

Na mecie uczestnicy zwiedzili najpierw izbę muzealną a następnie spotkali się na terenie średniowiecznego grodziska. A. Michler w języku polskim i niemieckim przybliżył jego historię, przedstawił fotografie ze znaleziskami. Gdy rozpalono ognisko, pomarańczowe języki ognia rozpoczęły swój taniec. Był to sygnał do smażenia kiełbasek. Apetyty dopisywały. O pyszny posiłek postarali się Urszula Rajczakowska i Mariusz Jackowski z Urzędu Gminy.

Uczestnicy rajdu otrzymali z rąk Wójt Marii Leśnej pamiątkowe certyfikaty. W obie strony pokonaliśmy na rowerach około 23 kilometrów. Podczas rajdu nie wydarzył się żaden wypadek, ale... nie wytrzymał sprzęt: uczeń z grupy niemieckiej wrócił busem.

1 czerwca

W dzień finałów Międzynarodowych Otwartych Mistrzostw Polski w Płukaniu Złota teren wokół zalewu wypełnił się mieszkańcami i gośćmi z różnych zakątków Europy. Pogoda dopisywała. Skwar zachęcał do kąpieli w rzece, jednak tylko odważni zasmakowali zanurzenia się w toni rzecznej. Piwne parasole rozpięły swe czasze pod niebem. Każdy, kto szukał cienia, mógł się pod nimi skryć i wygodnie usiąść na ławeczce.

Na brzegu wzdłuż rzeki ustawione były kramy i namioty. Każdy miał coś do zaoferowania. Namiot z napisem TMZZ, za sprawą Anny Chrzanowskiej i Aleksandra Borysa, promował nie tylko nasze wydawnictwa. Kupujący uzupełniali swe kolekcje. Powodzeniem cieszyły się książki, przewodniki po trasach rowerowych, reprinty, „Echo Złotoryi". Znajomość języka niemieckiego bardzo się przydała. Zagraniczni uczestnicy mogli bez ograniczeń zadawać pytania, na które Ania udzielała wyczerpujących odpowiedzi. Od czasu do czasu porywy wiatru zrywały nam ceny, ale i na to znalazł się sposób. Był to udany dzień.

Trzeciego czerwca, a więc już po zakończeniu Dni Złotoryi, w ZOKiR, zorganizowaliśmy jeszcze odczyt poświęcony 400. rocznicy największej powodzi w dolinie Kaczawy. Wysłuchała go duża grupa uczniów złotoryjskich szkół. Tragicznym wydarzeniom z 1608 r. poświęcamy osobny artykuł w tym samym numerze.

W kalendarzu TMZZ

Serdecznie zapraszamy na poniższe imprezy, które planujemy zrealizować w następnych miesiącach bieżącego roku:

1. **20 lipca**, godz. 8.30, kościół św. Józefa Robotnika na Kopaczu: msza św., pieszy spacer-pielgrzymka Drogą św. Jakuba z Kopacza do Pielgrzymki, powrót ok. 16.00
2. **12 września**, godz. 17.00, kościół św. Jadwigi w Złotoryi: otwarcie wystawy „Tradycje jadwiżańskie na Ziemi Złotoryjskiej" (w ramach Europejskich Dni Dziedzictwa)
3. **13 września**, godz. 11.00, kościół św. Jadwigi w Złotoryi: odczyt „Tradycje jadwiżańskie na Ziemi Złotoryjskiej" (w ramach Europejskich Dni Dziedzictwa)
4. **14 września**, godz. 16.00, klasztor pofranciszkański w Złotoryi: inscenizacja „Od Valentina Trozendorfa do klas dwujęzycznych w Złotoryi" (w ramach Europejskich Dni Dziedzictwa)
5. **20 września**, godz. 9.00, kościół św. Jadwigi w Złotoryi: II Rajd Rowerowy Szlakiem Czterech Świątyń Jadwiżańskich(cz. 2) Złotoryja – Sokołowiec, powrót ok. 15.00 (w ramach Europejskich Dni Dziedzictwa). Regulamin zostanie dostarczony szkołom.
6. **21 września**, godz. 10.00, kościół NNMP w Złotoryi: wycieczka „Śladami złotoryjskiej komturii joannitów", powrót ok. 13.00
7. **26 września**, godz. 10.00 – 13.00, Gimnazjum w Wilkowie: VII Powiatowy Dzień Regionalisty. Program zostanie dostarczony szkołom.
8. **11 października**, godz. 9.00, kościół św. Jadwigi w Złotoryi: pieszy XI Rajd Jadwiżański Złotoryja – Rokitnica, powrót ok. 14.00. Regulamin zostanie dostarczony szkołom.
9. **29 października**, godz. 17.00, kościół NNMP w Złotoryi: odczyt „Wojna trzydziestoletnia (1618-1648) w Złotoryi i okolicach – makabryczne wydarzenia, osoby, ślady"

Zapraszamy nauczycieli wraz z uczniami, członków i sympatyków TMZZ z rodzinami i znajomymi oraz wszystkich zainteresowanych. Imprezy mają charakter otwarty i nieodpłatny. Wcześniejszych zgłoszeń wymagają jedynie Powiatowy Dzień Regionalisty oraz Rajd Jadwiżański (tylko w tym ostatnim wypadku przewidujemy odpłatność w kwocie 2 zł).

Muzealne tradycje raz jeszcze

Cieszę się, że artykuł, poświęcony muzeom w naszym mieście(Echo z lutego 2008) wzbudził zainteresowanie między innymi pracowników Muzeum Złota i ZOKiR(Echo z maja 2008).

Po pierwsze, bardzo byłbym wdzięczny autorom sprostowania za dokładne określenie daty przekazania Społecznego Muzeum Ziemi Złotoryjskiej Złotoryjskiemu Ośrodkowi Kultury. Po drugie, rzeczywiście być może bezkrytycznie uwierzyłem zachowanemu dokumentowi z lipca 1993 r., podpisanemu przez ówczesnego Dyrektora ZOK Tadeusza Masojcia, który pisał: *Społeczne Muzeum Ziemi Złotoryjskiej od stycznia 1993 stanowi integralną część struktury organizacyjnej Złotoryjskiego Ośrodka Kultury. Faktyczne przekazanie ZOK-owi tej jednostki wraz z budynkiem „Katowni" nastąpiło 29.04.1993 r."*

Jeśli chodzi o kwestię inwentaryzacji zbiorów Leopolda Schmetterlinga zaraz po ich przewiezieniu do Złotoryi, to w pełni podtrzymuję przekonanie o tym, że takowa powinna była zostać przeprowadzona, bez względu, co na ten temat mówi ustawa o muzealiach. Bardzo negatywne skutki braku takiej inwentaryzacji opisuje Kazimierz Ruta w artykułach *Złotoryjska afera „Żelazo"?* oraz *Afera żelazo* w Gazecie Złotoryjskiej z grudnia 1990 i stycznia 1991 r. Nie kwestionowałem ani prawa muzeum do wypożyczania zbiorów ani inwentaryzacji dokonywanych w późniejszym czasie. Jednak może niepokoić fakt, że po 35 latach nie została jeszcze zakończona. Na opis i wyeksponowanie czeka m.in. cenna kolekcja monet L. Schmetterlinga..

Z radością odebrałem fragment sprostowania, dotyczący losów replik narzędzi katowskich i zabytków archeologicznych. Szkoda tylko, że obecnie „leżą w archiwum". Widocznie nie bardzo pasują do dzisiejszego charakteru placówki.

Roman Gorzkowski

Powódź 1608 roku

JJak pisze Damian Komada w publikacji *Eko Kaczawa,* od XV do początków XXI wieku miało miejsce co najmniej 25 większych powodzi Kaczawy. Więc średnio dochodziło do nich mniej więcej co dwadzieścia kilka lat. Ostatnie wylewy nie przynoszą już właściwie ofiar w ludziach, choćby z powody „systemów wczesnego ostrzegania", czy odpowiedniego sprzętu ratowniczego. Wcześniej pod tym względem było jednak zdecydowanie gorzej i dlatego mogło dojść do wypadków, które za chwilę opiszemy.

Najtragiczniejsza w skutkach powódź nawiedziła miejscowości w dolinie Kaczawy 400 lat temu, dokładnie w dniu 2 czerwca 1608 r. Dzięki zachowanym do naszych czasów opisom, które wyszły spod ręki złotoryjan, można przedstawić ją z dużą szczegółowością.

Około południa niedaleko źródeł Kaczawy a ściślej w okolicach Wojcieszowa ciemne chmury pokryły cały horyzont, aby wkrótce przynieść ogromne burze, błyskawice i ulewny deszcz.. Wyładowania atmosferyczne były tak wielkie, że wydawało się, iż w ogniu stanął cały horyzont. Koryto rzeki szybko wypełniło się wodą, która już w Wojcieszowie i Świerzawie przyniosła duże zniszczenia, zagarniając stojące nad rzeką młyny, domy mieszkalne i budynki gospodarcze. Widziano ginących ludzi, dziesiątki tonącego bydła, koni a nawet płynące rzeką płonące domy. W Nowym Kościele, gdzie utonęło ponad 250 sztuk bydła, woda między innymi przepłynęła przez pałac. Stosunkowo nieduże straty zanotowano natomiast w Jerzmanicach.

Do godziny drugiej po południu nad Złotoryją niebo jedynie się mocno zachmurzyło a rzeką przeszła szybko niewielka fala, co uspokoiło mieszkańców. W mieście odbywał się wtedy jarmark, w którym uczestniczyło również wielu złotoryjan mieszkających nad rzeką, wśród nich spora liczba sukienników – tkaczy i farbiarzy. Pozostawili oni często w mieszkaniach dzieci same lub pod opieka służby. Stare ryciny jeszcze z XVIII I XIX wieku ukazują w pobliżu rzeki liczne i dość liche zabudowania zarówno mieszkalne jak gospodarcze.

Około 6 godziny po południu nadeszła niespodziewanie ogromna fala, wysoka i straszna jak niebotyczna góra, zaskakując mieszkańców doliny. Na pierwszy ogień poszło kilkanaście domów i stodół i liczne zwierzęta gospodarskie. Wieść o katastrofie szybko doszła do centrum miasta, skąd na ratunek poczęli zbiegać mieszkańcy niżej stojących budynków. Jednocześnie na wyższych brzegach gromadzili się obserwatorzy, których relacje potem zbiorą kronikarze. Byli oni świadkami straszliwych scen: niesione prądem drzewa niszczyły zabudowania, których szczątki pogłębiały straty, w odmętach ginęły całe rodziny, dzieci na oczach rodziców, często starające się rozpaczliwie uczepić płynących pni. Jeden z mieszkających nad rzeką rybaków wyprowadził na poddasze żonę o dzieci, lecz dom po chwili porwała woda. Mężczyzna się uratował, uczepiony pobliskiej topoli. Niedaleko tego miejsca mieszkało starsze małżeństwo, które wzywało ratunku z okienka na dachu, podczas gdy ich domostwo powoli pogrążało się w odmętach. Tuż przed śmiercią zdążyli oni zmówić modlitwę i przytuleni ponieśli śmierć. Wielu, obserwujących z brzegów tę scenę, przyklęknęło i przyłączyło się do ich modlitwy. Pod Górą Zamkową udało się uratować przez dach kilkuletnie dziecko, kilkoro innych rodzin przetrwało kilkadziesiąt godzin w konarach drzew, w innym przypadku 10 letni chłopiec przeżył trzymając się dobrze umocowanego stołu, kilku mężczyznom udało się przeskoczyć z płynącego domu na strych innego, gdzie zastali gromadę oczekująca na ratunek. W tragicznej sytuacji byli niewidomi oraz ci, których akurat do łóżek przykuła choroba.

W sumie od źródeł rzeki do Złotoryi zginęło 126 osób, na wysokości samego miasta -42, w Wojcieszowie- 2, Świerzawie- 25, Sędziszowem- 12, Różanej- 22, Nowym Kościele- 20, w Jerzmanicach- 3. Magistrat zarządził gromadzenie zwłok w szpitalach, co trwało wiele dni, bo woda nie wszędzie szybko opadła a ciała zagrzebane były często pod gruzami i mułem. Po kilka znalezionych ciał, które rzeka zniosła pod miasto, zgłosili się okoliczni właściciele folwarków. Wyprawiono uroczysty pogrzeb i pochowano zmarłych w trzech mogiłach na Górze Mikołaja.

W 1609 roku burmistrz Johann Feige ufundował, według kronikarzy właśnie pod wpływem przeżyć związanych z tragiczną powodzią, najładniejszą emporę w kościele Mariackim, zwaną Mieszczańską a w 1630 roku sędzia i rajca Daniel Feige umieścił na budynku młyna przy ul. Kolejowej tablicę, zaznaczającą poziom powodzi w 1608 r.(fot.). Poziomа kreska widnieje dzisiaj na wysokości około 150 cm, lecz można przypuszczać, iż przed wiekami grunt w tym miejscu znajdował się nieco niżej.

Roman Gorzkowski

Historia jednej fotografii. - ciąg dalszy

Zamieszczona fotografia w nr 4 (29) z kwietnia 2008 r. jak przewidział autor, rzeczywiście wzbudziła wiele wspomnień z wydarzeniami na niej zamieszczonymi.

11 września 1964 r. był bardzo oczekiwanym dniem przez wielu mieszkańców naszego grodu, zarówno młodych jak i starszych. Otóż tego dnia odbyło się uroczyste otwarcie długo oczekiwanej nowej szkoły – Tysiąclatki, Szkoły Podstawowej nr 3 przy ulicy Wilczej.

A tak to się zaczęło: w latach pięćdziesiątych XX wieku Złotoryja przeżywa drugą *młodość.* Do miasta przybywa wielu młodych ludzi w związku z prężnie rozwijającym się budownictwem mieszkaniowym i okolicznym przemysłem – eksploatacji złóż rudy miedzi i innych kopalin (kamieniołomy bazaltu). Zwiększa się liczba ludności, a tym samym potrzeba innych budowli użyteczności publicznej – szczególnie szkół i przedszkoli. Władze oświatowe powiatowe i miejskie przeprowadzają obliczenia statystyczne i analizy istniejącego zasobu, z których wynika, że istnieje potrzeba (z myślą o przyszłych młodych mieszkańcach miasta), aby przygotować nowe miejsca do nauki. Istniejące w mieście podstawówki *pękały w szwach*, w roku 1958 / 59 Szkoła Podstawowa nr 1miała 6 oddziałów kl. I, w których było średnio po 35 uczniów. W następnym roku szkolnym wypożyczono 2 klasy w Szkole Podstawowej nr 2, gdyż już nie można się było pomieścić w macierzystym budynku. W tych warunkach rozpoczynają się starania o budowę nowej szkoły – na miarę potrzeb i czasu, wyposażonej w nowoczesny sprzęt i pomoce naukowe.

Apel FJN – budowy szkół i pomników Tysiąclecia znalazł na naszym terenie podatny grunt. Złotoryjanie przystąpili do gromadzenia funduszy. Największy wkład miała załoga kopalni ZG „Lena" – która też stała się potem opiekunem szkoły.

27 lipca 1962 r. – PBM z Jeleniej Góry przystąpiło do prac budowlanych przy ul. Wilczej, wtedy na obrzeżach miasta.

3 listopada 1963 r. w obecności władz powiatowych, miejskich, organizacji społecznych, przedstawicieli zakładów pracy, mieszkańców miasta oraz młodzieży szkół złotoryjskich wmurowano akt erekcyjny.

25 sierpnia 1964 r. do pachnącego świeżością budynku szkolnego wchodzi komisja odbioru inwestycji, a wraz z nią pierwsza Rada Pedagogiczna z kierownictwem szkoły, na posiedzenie organizacyjne. Niestety nie dane było odbyć do końca rady, w tym pięknym na pozór gotowym obiekcie wykryto wiele rażących usterek. W tej sytuacji wszyscy obecni w budynku zostali wyproszeni przez zdenerwowanych inwestorów.

1 września 1964 r. licznie zgromadzeni uczniowie, rodzice, nauczyciele tylko na zewnątrz mogli podziwiać wspaniale prezentujący się obiekt.

Pierwszy dzień roku szkolnego – uroczysty apel odbył się na sąsiadującym ze szkołą zieleńcu. W następnych dniach zajęcia odbywały się w terenie – w polu, na łące, w lesie, organizowane były gry i zabawy terenowe. Na skutek niesprzyjającej aury trzeba było przerwać spotkania z uczniami.

5 września odebrano komisyjnie budynek szkoły, mimo istniejących licznych jeszcze usterek, które miały być usuwane w okresie gwarancyjnym.

Do pracy nad przygotowaniem budynku, do działalności ruszyli wszyscy pracownicy szkoły wspierani przez Rodziców.

Zabraliśmy się do kosmetyki pomieszczeń: mycia okien, drzwi, czyszczenia podłóg, ustawiania sprzętów – urządzania klas i pracowni. Prace często kończono w późnych godzinach wieczornych.

11 września – co widać na załączonym zdjęciu, przy udziale licznie zgromadzonych gości: przedstawicielach władz powiatu, miasta, Kuratorium Wydziału Oświaty, zakładów pracy – na czele z delegacją górników ZG „Lena", szkół złotoryjskich, no i oczywiście przyszłych uczniów, ich rodziców, nauczycieli – nastąpiło uroczyste przecięcie wstęgi i otwarcie Tysiąclatki – SP nr 3.

W pierwszym roku naukę kontynuowało 716 uczniów, pod opieką 22 nauczycieli – zorganizowanych w 20 oddziałach klasowych rozmieszczonych w 16 izbach lekcyjnych.

Wspomnienia spisała uczestniczka tych wydarzeń – długoletnia nauczycielka SP 3 – Tysiąclatki.

Warto przeczytać

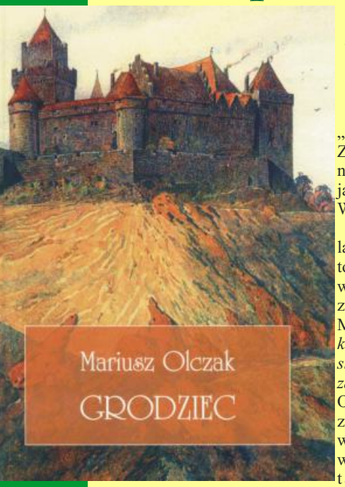

Zamek domowy

Zamek w Grodźcu zasługuje na miano „zamku domowego" mieszkańców całej Ziemi Złotoryjskiej (nie ukrywamy, iż nawiązujemy do nazwy „góra domowa", jaką posługujemy się w odniesieniu do Wilkołaka, czyli Wilczej Góry).

Obchodząc stulecie odbudowy zamku w latach 1906-1908 a także w oczekiwaniu na to, że w XXI wieku warownia doczeka się wreszcie koniecznej renowacji, warto zapoznać się z najnowszą edycją książki Mariusza Olczaka *Grodziec. Zamek-kościół-pałac. Rys historyczny pewnej starej śląskiej warowni wraz z planem zamku,* wydanej przez warszawską oficynę OPPIDUM. Mieszkańcy naszego miasta znajdą w dziejach zamku niemało wydarzeń, w których uczestniczyli dawni i współcześni złotoryjanie. Autor cytuje także wiele fragmentów źródeł historycznych ze złotoryjskich archiwów i bibliotek.

Najlepiej będzie, gdy z książką Mariusza Olczaka wybierzemy się przy najbliższej okazji do Grodźca, aby zwiedzić dokładnie ten bardzo ważny zakątek naszego regionu.

Roman Gorzkowski

Kącik starej widokówki

Sto lat temu pod Fontanną Delfina

Rok 2008 zapowiada się pomyślnie dla Fontanny Delfina, stojącej od 1604 r. na złotoryjskim Rynku. Można się spodziewać, że po rozpoczętej właśnie renowacji znów tryskać będzie wodą a w pobliżu umieszczona zostanie stosowna informacja o historii zabytku.

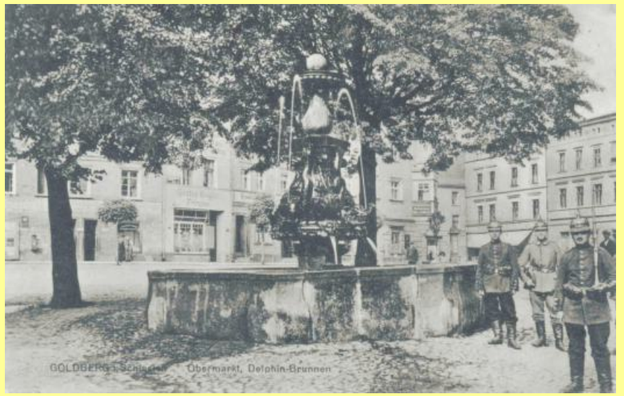

Starsza z widokówek wysłana została z naszego miasta w sierpniu 1908 roku. Ukazuje więc fontannę wkrótce po jej odnowieniu na początku ubiegłego stulecia. Jak widać, łby delfinie były zupełnie inne niż dzisiejsze (obecne otrzymała w latach 60. XX w.) a woda wypływała nie tylko w jej dolnej części. Drugą widokówkę nadano dziesięć lat później, w lipcu 1918 roku, czyli jeszcze w trakcie I wojny światowej. Dlatego spod fontanny spogląda na nas poważnie kilku żołnierzy tutejszego garnizonu, oczekujących z pewnością na powrót do cywila.

Roman Gorzkowski

Historia jednej fotografii

Autobusem w siną dal!

W powojennej Złotoryi dworzec autobusowy kilkakrotnie zmieniał swą lokalizację. Wraz z nim przenosiły się ważne niegdyś kasy biletowe i poczekalnia. Prosimy Czytelników o podanie „adresu" dworca PKS, którego fragment ukazuje fotografia, oraz (w miarę możliwości) o czas jego funkcjonowania w tym miejscu. Poszukujemy również autora zamieszczonego zdjęcia.

Roman Gorzkowski

GALERIA SPONSORÓW

Lena
Wilków Spółka z o.o.

PRODUCENT
konstrukcji stalowych
aparatury i urządzeń technologicznych
w tym dla ochrony środowiska
tymczasowych stacji paliw
elementów złącznych hydrauliki siłowej
sprzętu transportowego dla górnictwa
www.lena.com.pl, lenawilkow@lena.com.pl
tel. +48 76 8783 480, fax. +48 76 8783 212

Przedsiębiorstwo Górniczo-Produkcyjne
BAZALT ®
"Bazalt" SA w Wilkowie

VITBIS

KOSD
WILKÓW
Kopalnie Odkrywkowe
Surowców Drogowych
Sp. z o.o. w Wilkowie

KOPALNIE SUROWCÓW SKALNYCH S.A.
KSS S.A.
ZŁOTORYJA

INŻYNIERIA
INKOBUD
ZŁOTORYJA
Włodzimierz Kowalczyk
www.inkobud.pl
e-mail: inkobud@pro.onet.pl

LASY PAŃSTWOWE
NADLEŚNICTWO
ZŁOTORYJA

grysy bazaltowe
▪ płukane
▪ kolorowe
▪ posypki
▪ mączki
STONESPOL
PRZEDSIĘBIORSTWO PRODUKCYJNO-USŁUGOWE STONESPOL
ul. Złota 1, 59-500 Złotoryja, Polska, tel./fax (+48 76) 87 84 023